

283  
LUDWIK ROMOCKI

ŻOŁNIERZ —  
W. KS. KONSTANTEGO

HISTORYE Z DAWNYCH LAT

== DRUGA SERJA ==

WARSZAWA  
NAKLAD I Druk TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA  
(T. HIŻ i A. TURKUŁ)

Wyp. 02

D-100/34



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



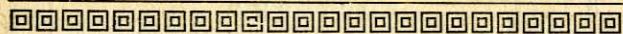
FUW0269798



39135 P



POCIECHA.



**S**tanislas vendredi fat proclamé Roy,  
Venus le mit au trône et non la Loi“.

Tak czytać można w djarjuszach onego czasu, prowadzonych niemal w każdym dworze szlacheckim, a w których obok notatki, że „primi mensis“ takiego a takiego urodził się pod znakiem Wagi czy Bliźniąt syn, ochrzczony w kościele parafialnym a parentes chrześni fuere jaśnie wielmożny starosta z wielmożną panią łowczyną i pro notitia weńcę żydkowi odstawić, znajdują się nieraz tak charakterystyczne wiadomości de politicis i poezje, przekopjowane troskliwie, w zakrętach kaligraficznych, lepsze w chęciach niż w wartości.

Lecz czasem ujmają w kilka wierszach całą treść danej chwili. Tak i tu. I jeżeli serca dzieczy sarmackiej nie zabiły ciepłej ku tanecznikowi dworskich parkietów, czując instynktem, zdrowszym od krótkiego rozumu.

politycznego, że nie ten zniewieściałuch zasiać powinien na chwiejącym się tronie, przebaczyć im przytem łatwo, że nienawidziły szczerze to, co jednocześnie w pochodzie tryumfalnym wjechało do Polski: polor francuski, we fraczku i przy szpadce, i ogląda, przyczepiona do maszki na pudrowanem licu, — bo niosły zarazem i rozszerzały zepsucie i gangrenę.

Dziwy opowiadano o nowym dworze, dziwy, o których nie zasłyszał przedtem jeszcze nikt tam, po dworkach, gdzie żyło się po bożemu. Przeszedł ów powiew zarazy już za pierwszego Sasa, lecz ten więcej Drezno stolicą orgji swoich uczynił; teraz zasłynęła z przyjęcia obyczajów cudzoziemskich, Warszawa.

Kacper Ryski do czasu, w którym dwadzieścia pięć lat skończył, chodził latem w parcianej kurcie, zimą w baraním półkożuszką, po kamienistych bródach rodzicielskiej wioseczki, Potrzeby, w opoczyńskiej ziemi, co to, zmienna urodzajem, jako opoczyńskie kraje, — kopa korzec, korzec kopę daje, — a tylko od niedzieli i święta w żupanką z sukna, weale przystojnego, po złotych polskich dwa i pół łokieć, od przejezdnego kupca-żyda z Berdyczowa wytargowanego przez panią matkę dobrodziejkę.

Harował na równi z parobkami i ojciec

grzmiał na pierworodnego równie siarczyście, jak na tamtych, gdy zasłużyli, jeno, że wtedy do różnych, w Niesieckim zgoła nie wzmiankowanych przydomków, dodawał: acan.

Trochęć był leniwego usposobienia syn pana wojskiego Ryskiego i ztąd może do niewiast nie ciekaw i próżno Maryśka, co prosięta i starszą trzodę oprzątała, a rozrosła była w biodrach, niezem piec gdański, zerkała na niego.

Do jednego tylko zacięty był i w tem, obok siły niepośledniej, zwinność z zręcznością wielką wykazywał, — fechtanka. Ojciec go wprawiał na rękę, a że sam za młoda, za panem stolnikiem litewskim, aż do Bendera zaszedł i od szwedów i francuzów na rapiery nawet szermierki się expedite wyaczył, więc Kacper i na ciecie i na sztych wywoczył się doskonale.

Radby był kiedy swą sztukę okazać, ale jakoś nie trafiała się okazja.

Jednakże dni życia człowieczego po to tylko czasem toczą się tak długo spokojnie, aby nagle zacząć się przekoziółkowywać, jakby los, niby koń wystąpił, rzucając się w nagłych szczupakach, chciał sobie powetować beczynny czas.

Najpierw na łękę, do terytorjum wsi wojskiego należąca, ładną, choć kwaśną, że w dołku leżała, zleciało się na jesień bocia-

nów stado, potem dragie, w te pędy zaś tyle, że się na łące ledwo mogły pomieścić, ani okiem ich przejrzeć, ani tem mniej policzyć było. Które, uczyniwszy kłekot straszny, że na milę wkoło było słyhać, i sąd sprawiwszy, poczem kilka z nich nieżywych znaleziono, zadziobanych za wspólnym wyrokiem, jako i w tym narodzie ptasim, widać, winy znajdują *justam poenam*,—odleciały, do cieplejszego egipskich ciemności kraju pono. Aliści zaraz, na ledwo opróżnione miejsce przez kompatrjotów, zjechały fary z cyganami, od północy, południa, wschodu i zachodu słońka; że rojno ich było, jak przedtem boćków. I rozłożyli się obozowiskiem, ognie rozpalać a strawę przy nich warzyć w kotłach, a spytani, coby w nich gotowali, odrzekli, że ową znaną bociąską zwierzyńcę; na dowód udkiem obgryzionem jeden z nich cisnął, tylko, że dziwnie krótkiem, jak na takiego wielkiego ptaka. Zresztą—swój swego nie zeżre. Gospodarzyli, jakby się na dłuższy pobyt zabierali.

Jaż zlot ptaków nie podobał się dziedzi-cowi, który wszelkich innowacji w swem gospodarstwie nie lubił, a pociech miał dosyć, a jaż na ten zjazd cygańskiego plemienia, złodziejów i wszeteczników, gospodarujących sobie na jego gruncie, jak u siebie, zatrząsł się. Pehnął do nich gumienego, aby się wy-

nosili. Ale ten z despektem wrócił.—Powiedz pana swema, że łąka dawno skoszona, szkody nikomu nie robim, a wiatr i słońce wszystkich ludzi dobro — rzecze mu cygański król.

— Wiatr, nie wiatr, — a dzieci, a kary kradną, pogany—haknął stary Ryski,—Kacper, biegaj acan, niech fugę dają *stante pede!*

Kacper tyle od organisty łaciny załapał, że, jako rodzic wspomniał *stante pede*, pędem na jednej nodze poskoczył. Weale nie w smak mu była coprawda ta misja, której trudności wykonania sobie nie taił, gdyż znana hardość cygańska i że, osobliwie w takiej kupie, nawet i ze szlachcica niewiele sobie co robić gotowi, ale wolę rodzicielską, raz objawioną, szanował jako świętą.

Nadspodziewanie mu poszło, gdy przecież, z natury krewkim nie będąc, spokojnie do cygańskiego monarchy wystąpił, ino afirmując mu, że i królewska godność, gdy do rozlewu krwi dojdzie, od szubienicy go nie ocali.

Żachnął się cygan, chłop, jak dąb, spozywający gnuśnie na postaniu ze skór na wozie, z których się nawet na przyjęcie Kacpra, godność swą nominującego, ledwo na wpół podniósł, ale opadły go kobiety, — żony, jak się młodemu zdawało, bo te djabły w wielożeństwie żyją — i z wielkim impetem językami mieląc, wykrzykując i popychając się,

perswadować widno i przekładać swemu władcy zaczęły, który rzekł wreszcie gniewnie: „Do jutra tu zostajem, a jutro wieczór, czyja wolna wola, wolno przyjsć—po potraw“.

Uragliwa to była odpowiedź, bo, o którym sianokosie nie mówiąc, na co już i nie była pora, żdźbła trawki po tym tatarskim najeździe nie mogło pozostać, ale zawsze dobrze, że dobrowolnie pójść się gotowali.

Namyślał się tylko wojszczyce, sam za pokojowem rzeczy załatwieniem będąc, jak ojca treść responsu zakomunikować z przemileżeniem obraźliwej formy, gdy do wychodzącego już za obozowisko cyganka młoda podbiegła w czerwonej, obeistej spódnicy i kaftaniku czarnym w żółte kwiaty, co ledwo pierś jędrną, z pod rozchełstanej koszuli wypierającą, obejmował. Widział był tę dziewczę przedtem przy naczelnika.

— Powróżyć pięknemu paniczowi może?

— Ehe, właśnie—sumiastego już, jasnego wąsa podkręcił i spojrział się na nią, o głowę wyższy, z wysoka, z pogardą— a jeżeli myślisz, że ci za to z pazuchy garść złotych nasypię, a mnie nie najdziesz!

— Od ładnego panicza ani grosika nie wezmę, co mi złoto? Mam, nie mam!—i wskazała na łańcuch, podkrążający piersi, a który z dakatów szczyrych, spojonych złotem ogni-

wy, zdawał się być złożonym.—Dajcie rączkę, wielmożny panie.

Że jakoś politycznie do niego przemówiła, więc, chociaż się wszelkich gasel bał, rękę, którą pochwyciła, jej zostawił.

Cyganka w dłoń szeroką się wpatrzyła poważnie, pokiwała główką.

— Dziwy, dziwy, w wielkiem mieście będziesz. Ochota ci da szczęście. PociECHy się strzeż. Krew i krew, jeszcze dzisiaj. Ale ze wszystkiego wielkie szczęście być może.—

Wyszczrzyła białe ząbki i uciekła.

Tego samego wieczora wojszczyce pana Klimkowskiego, podczaszyca rawskiego, który, w sąsiedztwie spotkany, na opowieść o cyganach, że to niby Kaeper przed nimi stehórzył, mu naurągał, jak długiego rozciągnął, szablą go w pierwszym złożeniu przez łeb przemierzwszy tak nieszczęśliwie, że tamten i nie powstał i nie wiadomo było, ażali się wyliże,— i na drugi dzień już był wysłany przez ojca, jedyną nadzieję ujścia pomsty Klimkowskich widzącego w przypomnieniu zasług, ongi u wojewody mazowieckiego położonych, do Warszawy.

Miasta mury kamienne przygniotły go swym ogromem.

Króla Jegomości nie zastał. Dostawszy się jednak raz na sale zamkowe, miał, przy całej dystrakcji, sposobność podziwiać ich

wspaniałość i cuda tam nagromadzone. Zwłaszcza udało mu się jedno malowidło spore, na którem bogini grecka była wymalowana, a dwoje gołąbków, wylatując nad nią, w dzióbkach trzymały sznur, z róż niby, niby z sere. Tej malaturze, pomimo utrapienia swego i obojętnej jak gdyby na wdzięki białychgłów natury, przyglądał się nawet ciekawie.

Wracał jednakże z ciężkiem sercem, wobec niespełnionego zadania i niepewności losu, powłócząc zmęczonemi nogami po Elektoralnej, na której krańcu miał swą gospodę. Wieczór już był, rychle zapadający, ale, jako w mieście tak przesławnem, ludu sporo na ulicach; mieszczki, chichocząc się, zaglądały mu w oczy, obryzgiwały pieszych błotem karoco.

Akurat przed pałacem Jabłonowskich jedna z nich ulgnęła. Dwuch hajdaków napróżno się siliło wydobyć osie. Ofiarowywali mu, widząc jego szerokie barki a skromną suknię, napiwek, by pomógł. Podniósł hardo głowę i już odchodził, gdy z za firanki, podciągnionej, przez otwarte okno karety, przejrzała cała nadobna twarz niewieścia, coby go jeszcze może nie było wzraszyło, lecz głos, mile a z frasankiem proszący o pomoc, dał się słyszeć. Podstawił się. Coś trzasło, hukło i koła wylazły na wierzch.

— Kasztelanowa Grabowska jestem, żebyś waszmość wiedział, z kim miałeś *honneur*.—

Zaprezentował się obojętnie, chociaż trochę zakłopotany, jej i jeszcze drogiej damie, która zasiadała we wnętrzu powozu, ta jeszcze ładniejsza i młodsza,—panna Salpicja Krasnowska, z fraucymeru i krewniazka kasztelanowej. Gdy wprawne oko ostatniej przesunęło się z zadowoleniem, ale bez głębszego zainteresowania, po młodym mężczyźnie, tamta aż raka spiekła.

— Widać zaraz, żeś waćpanna od niedawna w Warszawie—zauważyła z uśmieżkiem jej opiekunka, a potem, z postanowieniem tych niewiast, które fortuna, stawiając wysoko, przyzwyczaiła do szybkich decyzji, zaprosiła wybawiciela, aby usiadł przed niemi na ławeczce, w przedzie karety.

— Nie mamy czasu na długie rozmowy, dopowiesz waćpan w ten sposób co jeszcze o swojej osobie—i przydasz nam się w każdym razie dalej, jako nasz *chevalier*, bo mamy drogę, acz nie tak znowu daleką, ale rezykowną przed sobą.—

Ścisnęła suknie, które zaszeleściły dumnie, maśnięte prostem sakienkiem żupanika.

Wsiadł i opowiadał, co go sprowadziło do Warszawy za nieszczęście.

Rozmowa potoczyła się wyłącznie niemal pomiędzy nim a towarzyszką kasztelano-

wej, nieśmiałą, lecz ciekawą, i do której Kacper poczynął poczuwać dziwną, nieznaną do-tychczas sobie zupełnie, ciekawość. Ładna też to była panna, takiej jeszcze nie widział. Drobną bardzo, lecz twarz jak jagódka, włosy kręce, aż połyskujące, rączuchny i nożuchny maleńkie, a od kolanek, o które niechęć zawadził, biło jakieś ciepło zdradliwe. Słowa jej były szczerze i miłe — chociaż nie mówili nawet zbyt wiele, patrząc się więcej na siebie.

Pani Grabowska, po rzuconych kilku pytaniach, pogrążyła się w zadumie; miała o czem myśleć, żona najtkliwszego i najniewierniejszego z królów.

Powoli cisza zaległa kolaskę i mrok.

Co się odtąd działo, przedstawiało się potem Kacprowi, gdy sobie wspomniał, jakoby we śnie.

Cisza i mrok, kołysząca się na pasach kolebka, coraz niewyraźniejsze, kiwające się miarowo na głowie kasztelanowej pióro ogromne z jakiegoś nieznanego mu ptaka, rzadziej wpadające z ulicy błyski światełek, bliskość, przeczuwana raczej, niż pochwytana, pięknej panny, mieszały się i zlewały w duszy jego w obraz rzeczywistości jakby nie rzeczywisty — śnił-li na jawie?

Powóz potoczył się Krakowskiem-Przedmieściem, dalej, skręcił w bok, minął rogatki, jak objaśniła przytłumionym głosem więcej

już świadoma stolicy panna Krasnowska,jechał traktem, gdzie już z stron obu szczerze pole czerniało.

— Wieś — rzekła nagle z widoczną uciechą panna.

— Wieś — zawtórował jej uradowany wieśniak.

— Ochota — objaśniła, budząc się z zamysłu kasztelanowa.

— To tedy kompanje chodzą do Jasnej Góry — wszakżeż? — zapytała z przejęciem dziewczyna.

Pani Grabowska kiwnęła głową; mniej ją to przejmowało.

Kacprowi zaś stanęła najżywiej w myśl; wróżba cyganki i począł, jak nagle jasność zstępuje na niego. Przypadek-li, czy nie, tu przeznaczenie jego wiązało się w węzeł nierozzerwalny.

— A ot karczma Pocięcha, — tu wiedz, Salpisia, przystają pielgrzymki na pierwszy odpoczynek — ale nas zgoła co innego tu przywiodło. Maszę się zwierzyć waszmości, o ile mi to jest potrzebne. Znamienity wieszczbiarz włoski, kawaler de Cagliostro, oczekuje mnie tutaj. Dał mi do Warszawy, gdzie się obawia z różnych względów pokazać, wiadomość o swoim przybyciu tu dotąd i że mnie czeka. A ja także wolę być niewidzianą i nie narażać się na obmowy i dopytywania ludzkie.



Przy świetle pochodni, które dzierżyli hajducy, przedstawiał się w niepewnych zarysach rozległy budynek w podkowę; w pośrodku wysuwała się ku przyjezdnym długa szopa, czy stajnia. Z jednej strony migotały światełka.—Tam—to szynkownia — zdawała sobie sprawę poinformowana poprzednio o rozkładzie domostwa Grabowska — ale obok maszą być stancje, tam czeka mistrz.

Poleciła towarzyszowi zostać na drodze; niewiasty znikły.

Ale trwało to niedługo i wojszczyce nie miał czasu rozplływać się w marzeniach, które pierwszy raz w życiu objęły go i lalały słodko, słodziatko, jak matka ukochane dziecię.

Odgłos szybkich kroków, strwożone głosy niewieście, grożące męskie, a nad wszystkim, więcej zgiewany jeszcze, niż wystraszony, głos kasztelanowej:

— Zasadzka — panie Ryski, na pomoel

Kobiety uciekały, co teha—za niemi najbliżej mignął mu w blasku pochodni podbiegających lokajów napastnik w ciemnym cudzoziemskim ubiorze, o twarzy żółtej, w której oczy czarne połyskiwały, żarząc się niby dwa węgle; za nim dwóch innych.

Kacper skooczył z dobytą szablą.

Natarł na pierwszego, gdy tamci wstrzymali się na widok służby.

Ale ten też już miał szpadę w rękę i nie-

tylko cięcie sziaheica sparował, ale w okamgnienia zadał mu kilka pchnięć, tak szybkich, ledwo dostrzegalnych, ile że przy niepewnem oświetleniu, iż Kacprowi zimno przeszło przez krzyż.

Rety, tak zawsze chciał się i na tę broń zdradziecką kiedy spróbować, ale tu poczał sprawniejszego od siebie, ba, mistrza. To, czego się nauczył od rodzica, nie starczyło, albo też owego czasu sztuka fehmistrzów udoskonaliła się. Pchnął sam prymę, widząc, że przeciwnik łapie w lot jego cięcia na gardzie, prymę bez zarzutu, prosto ku piersi, która, gdyby przeszła, szabla, chociaż zakrzywiona, atknąćby musiała po plecy. Lecz ów prześliznął mu się jakoś bokiem, prawie, że nie odtrąciwszy śmiertelnego ciosu, i Kacper odeczuł raczej, niż spostrzegł ostrze jego szpady pod swą prawą pachą, też. Cofnął się jeszcze na czas w tył, widząc znów tamtego, jak zwijał się już w kłębek, jak daży czarny kot, do nowego pchnięcia, które szło w połysku stali niepochwytne, nicobliczalne, zgubne, zabójcze... Śmierć, zda się, wychylała się z za pleców mordercy.

W Kacprze zamarło wszystko. Strach—nie miał, lecz teraz umierać, umierać teraz właśnie, żal głęboki, straszny...

A przecież ginął, z rozwartemi oczyma patrzył w zgubę niechybną, odważny lecz bezsilny.

Skok, w którym czuł ciało, jakby sprężystego dzikiego zwierza, rzucające się w olbrzymim drapieżnym susie na swą ofiarę i w tej samej chwili mignęło między nimi jakieś światło, gasnąc nagle z szczękiem, i dostrzegł tylko ciemną postać napastnika, leżącego przed nim na wznak na ziemi.

Panna Krasnowska wyrwaną z rąk hajduka pochodnię strzaskała szelmie o łeb. Słyszał, że syknęła sama. Koniec zbaczającej szpady przeszył jej ramię. Widział, jak złała się za nie.

A wtedy go taka wściekłość zdjęła, że, przyklękawszy na piersiach leżącego a odchylając mu gwałtem głowę, gotował się zardnąć go po gardle jak barana, gdy panna Sulpicja krzyknęła:

— Piąte: Nie zabijaj!

Zawahał się, a łotr, na wpół ogłupiony, cisnął się jednak, jak wąż, w bok do rowu, w którym go woda dotrzeźwiła znać do reszty, gdyż zerwał się i umknął śladem swych kompanów, co już przedtem na widok jego upadku w mig zniknęli.

Kto on był i w jakim celu, czy rabanka, czy aprowadzenia dla wymaszenia okupu, czy ze prywatnej jakiejś zemście lub może potencji której obecnej dogodnym by było zniknięcie potajemnej, lecz niemniej wpływowej, żony Stanisława Poniatowskiego, zwabił też przy-

branem imieniem znanego jej z swego pobytu w Warszawie Cagliostra w samotrzask, na którym się na szczęście w porę jeszcze spostrzegła, widząc obcego przed sobą o podejrzanej postawie, niezręcznie nieobecność kawalera tłumaczącego, i, pociągnawszy za sobą swą towarzyszkę, rzuceniem drzwi w zasawę pogoni trochę wstrzymała,—o tem deliberowano w powrocie napróżno i wieczną to też pozostało tajemnicą. Posądzano francuzicę, którą później za inne sprawy, piętnowaną publicznie, katem wyświecono z miasta.

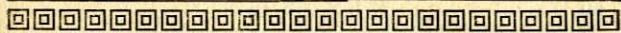
Ale do tego steku szalbierstw i zbrodni poczuł Ryski tem większą odrazę, popieraną przez pannę, która, gdy pani Grabowska obwiązała jej ramię, lekko tylko skaleczone, westchnęła—a już wjeżdżali w rogatki miejskie i światła domów, pomimo spóźnionej pory, żęły w oczy:

— Aby się tylko ztąd wydobyć.

— Jak chcesz, ma petite,—waszmość instancję moją u króla jegomości masz zapewnioną, przebaczenie za tamto i hojną nagrodę za to. Do tatejszego życia nie dorośliście.—

A Kacprowi Ryskiemu się zdało, że od powały powozu spływa łańcuch z róż czy sere, opuszczających się z kołysaniem kolebki, a gdzieś z kąta patrzy twarz cyganichy.

KLECHA.



Świadki,—jesteśta?—zagrzmiał głos woźnego Piotrkowskiego Trybunału hakiem trąby jerychońskiej.

— Jesteśmy!

Ława po prawej stronie przedsionku gmachu trybunalskiego zatrzeszczała i czterech szlacheiców, podniósłszy się z niej i rozprostowując kości po długim czekaniu, ruszyło sznurem jeden za drugim, wąsaci, ogromni, chadzi i ogorzali, w kontuszach karmazynowych, lecz wypłowiałych, każdy jedną ręką oparty na czapkę przykrytej rękojeści szabli, gdy prawice wahały się w miarę ciężkich kroków, jak u ludzi, co pracy przywykli. Tak szli: pan Jan Damięcki, herbu Dąbrowa, pan Stanisław Ciszkowski, herbu Trzaska, de Długoleki Długolecki, także Stanisław, i Marcin Śledź, herbu Zagłoba, i tak podpisani są zasię na akcie. A była to szlachta drobna, ale stara,

od wiek wieków w Płockiem, w ziemi sienińskiej lub jej okolicach, osiadła, tak stara, że w sporach z proboszczami płockimi, co nieomal całą ową ziemię, w beneficjach jako sobie nadaną, posiadli i nawet książętami się tytułowali, a mniej godni z nich kilkadziesiąt szlachetków w lud poddańczy radziby byli obrócić, niż nieraz wyżej do saeculam czter-nastego post Christum Dominum najskrapulniej wywieść się potrafili, przywilejami i nadaniami mazowieckich książąt jeszcze, co swą szlachtę miłowali a inter pocula hojni byli, jako Piastów ród, w dwójnasób dając, a nie pół, obyczajem skąpego litwina. I lubo władcy pobożni, w rzeczach świeckich, zwłaszcza ku zgubie klejnotu szlacheckiego, nie tak ślepy dawali posłuch każdemu słudze kościoła, jak ci, co wczoraj jeszcze węża czcili. To też, gdy małżonek Bony ostatnią Piastównę z ojczyznanego dziedzictwa siłą, jakoby umów dawnych, na słabych ojcach wymaszonych, nie dotrzymującą, wyzwać groził, ledwie, że piękna a dobra pani szablę, z pochew w obronie jej się prosząc, od srogiego bratniej krwi rozlewu wstrzymała. Ale pamięć czasów tych, gdy od niedźwiedziej siły mazurskiej chrobiały kości krzyżackie, żyła w sercach tak, jak się tu mówi, chociaż uczeni statysci innego mogli być zdania. Aż dopiero uchwała sejmowa za miłościwie panującego Stanisłausa

Augusta koniec położyła opressji braci szlacheckiej, co się wojewodzieciowi mazowieckiemu, a stolnikowiczowi litewskiemu tembardziej chwali, że widać drobnoszlacheckiego Ponia-towa w Przasnyskiem, z kąd najpewniej, mimo płatnych panegiryków, pochodził, się nie powstydział.

Nawodzić się jednak dosyć musieli po sądach, nim prawda, zawsze jak oliwa wypływając na wierzech, w zwycięstwa zabłysła koronę. I właśnie pod on czas źle sprawa szlachty sienińskiej stała. Marcin Załuski, książę sieniński, pan możny, in contumaciam, gdy nieuczciwy adwokat, ostatnie czerwieńce z klientów swych wyłudziwszy, a dalszych subsydiów nie widząc, ichmościów nie zastąpił, dekret na nich uzyskał: fora ze dwóra, lub w chamy iść. Co prawda, gdy pisarek sądowny w assistencji księży pachołków, którzy go od krzywdy cielesnej chronić mieli, bo wśród zatraceniów o brzydką przygodę nie trudno, paścił się po zaściankach szlacheckich, wyrok obwieszczać, rzekł mu pan Nikodem Ogończyk Ogonowski, braciej z Ogonowa najstarszy: Bogaż polecieć tą kondemnatkę,—nie tacy panowie w kondemnatkach chodzą i od tego w tej rzeczypospolitej jeszcze nikt nie umarł—a z Skonieckich, co lubo szlachta, bez godła chodzili, herba niewiadomego, bo o nich Bartosz Paprocki — dla pośledności — przepo-

mniał, Grzegorz, zdumiawszy się, iż Bóg tak zatwardził serce onego Faraona, z widłami, że akurat gnój nakładał, na pacholków się zamierzył. Ale z tem wszystkiem strapione były animusze pokrzywdzonych, gdy zdarzył się wypadek dla nich pomyślniejszy.

Mieszkał około Makowa prałat Kamiński, tak wielkiej świątobliwości starzec, stu lat sięgający, że go świętym być mieniono i zdala pielgrzymki do niego odbywali. Tylko wierze świętej oddany i w księgach żywotów tych, których naśladować całym było jego celem, zatopiony, powagą ogromną się cieszył i u konfratrów i sam owe probostwo płockie, na którym królowieże zasiadali, nad biskupstwo miejscowe je przekładając, ofiarowane sobie miał, które Załaskiemu odstąpił, i bracia szlachta pomni byli, że za młodą, żołnierkę traktując, pod Wiedeń chodził. Zkąd jednak rana miała początek, w piersiach się jego wiecznie jątrząca, a tem straszniejsza dla niego, że w otumanieniu chwili pożądania sam, jakoby ten turek, niewiastę nadobną z klasztornego schowania siłą zbrojną porwał. Ślab wziął z nią i syna w krótkim pożyciu z nią spłodził, ten zaś dwóch wnaków Wita i Marka, sieroty, mu pozostawił, którzy na pokutę mu straszną na wielkie nie dobrego a zbrojów zgoła wyrosli. Mieszkali, już dobrze dorośli, przy nim, waleśając się jednak po kraju, w hulankach

i burdach się labający. Bolał nad tem strasznie starzec, aliści jeszcze gorszą mu wnaki sprawiły niespodziankę, gdy kiedyś z szczególną ezcież do Królowej Korony Polskiej, do Częstochowy się wybrał, zkąd niewiedomo jakim sposobem wieść przyszła, że na dżumę życia dokonał. Zaraz się wnuczki tem, co znaleźli, chociaż dużo między ubogich rozdał, podzielili, księgi za byle co żydom sprzedając, a w wiosce rodzinnej, którą obok beneficjum posiadał a dla tychże synów zachowywał, się rozgospodarowali. Tymczasem wraca prałat, żyw i zdrow. Wieść kłamiwą pono wnuczęta mili rozpaścili sami, chociaż, prawdę na opak w gębie przewracając, szydzili, że pewnie dziad ich na próbę chciał wystawić. Ale, żeby nie być pomówionym, że w sądach płockich wpływem jeno swej powagi nad sprawiedliwością przeważał, na wyrok obcych sędziów się zdał, którym oni i dokumenta fałszywe poprzekładali, jako po matce haeredes, ku zgrozie wszystkich. Więc wymienieni czterej sąsiedzi, głowy rodów, z świadectwami wystąpić się ofiarowali, że dobra in quaestione dziedziczne starego rodu Kamińskich, co i senatorów z siebie wydał są, a nie wianem wniesione. JWny Walewski, wojewoda sieradzki, słynny jako superarbiter zawołany, raczej w tej funkcji, niż jako sędzia ex officio, z pomocą biegłych w prawie Piotrkowian rzecz miał rozstrzygnąć.

A że, lubo z kościołem w wojnie, jednak za sługą jego się ujmowali, więc panowie Damięcki, Ciszkowski, Długołęcki i Śledź taszyli sobie z tego słusznie nagrodę i w przychylniejszej dla ich własnej rzeczy opinii tegoż samego trybunału, przed którym się i sprawa z proboszczem plockim agowała, i może zwolnienia farańskiego serca tegoż i nagrody wiecznej za dobry uczynek.

Z tą myślą szli, gęsiego, ku drzwiom sali trybunalskiej.

Lecz już też trzasła ława po lewej stronie przedsionka i stamtąd ruszyło ichmościów sześcioro, kupą, wytartemi czołami a weale wypasionemi brzuszka mi świecąc. Zbieranina to była, dwóch wychrztów w tem, z których jeden aż na dworze króla żydowskiego, Franka, w niemieckim jakimś miasteczku przebywał, aż, gdy Sjon ów belzebubsko-farmazoński z braku grosza się zawalił, do Polski, sam się uszlacheiwszy, wrócił, i Niemiec jeden, przez tegoż wychrztę przyprawiony. Ale szli hardo, z hałasem wielkim, aż woźny, od drzwi w tył się cofając, krzyknął: „Ucisze się, mości panowie!“ Jednakże chcieli przed tamtą szlachtą prym wzięść, i w czelność i w liczbę większą dążyć i odtrącając ich od drzwi, koniecznie wejść pierwsi. Lecz pan Damięcki kolanem w brzuch tak poczęstował pierwszego z urwipolców, że w kłębek się

zwinął, a pan Ciszkowski mimochodem prawicę zamkniętą opuścił na łeb drugiego, że aż coś zachrząściło i tak poczęstowany, głową naprzód, naruka dał przez drzwi roztwarte w wnętrze sali i nosem pod stół sędziowski się zarył, pan Długołęcki nadstawiającemu się jeszcze nieopatrznie Niemczykowi jeno lekkiego byczka w nos dał, że zaraz trochę juszki poszło, a Niemczyk się grzeecznie z obleśnym uśmiechem ukłonił, zaś pan Śledź, wprzód zabiegając krwią źrenice w następnego ślepie tylko wlepiwszy, chrząknął, bo też nie ma więcej nie pozostało do zrobienia, gdyż się pozostali adwersarze już jakoś ku drzwiom kwapić przestali.

Stanęli więc już w zgodzie wszyscy razem przed stołem, tylko ten co pod niego wleciał, spóźnił się trochę do ordynku i jeszcze ma JWny wojewoda Walewski zbytnią czołobitność coram pares, których tylko zaufanie braci, nie równości szlacheckiej nie ujmując, raczej na doradców, niż sędziów wybrało, w pięknych słowach przyganił.

Prałat Kamiński stał na równi z stołem, obok krzesła wyściełanego, na poczęstnem miejscu, starzec suchy, kościsty, pochylony nieco wiekiem, o twarzy sępa, dziwnie ostrych i wyrazistych rysach, gdy patrzeć było z boku, a, gdy mu spojrział kto prosto w oblicze, zdziwionym był, jaką łagodnością i smutkiem

tehnęło. Siąść nie chciał i snąć nie słuchał, co się w koło niego działo, ale oczy jego siwe, duże i spokojne, patrzyły z żalem i z tliwością na wnuków.

Ci stali nieco podle stoła, wzroka ludzkiego unikając, to znów zuchwałe w koło rzucając spojrzenia. Nieokrzesane byli paroby, bo do nauki i obyczajności próżno ich dziadusiłował przyłożył.

Ale już w imieniu powoda zaczął wnosić sprawę magister juris atriasque, W-ny Jan z Dukli Pożręba, i przemówił bardzo misternie, od czasu do czasu chustą pot obcierając, tak, choć pora była jesienna i nawet niezbyt daszno w sali, rozum jego, aż opary z siebie wydzielając, nad tem pracował, by udaremnić ex priori argumenta adwersarjasza, W-go Tybarejasza Żaleskiego, który był katernoga, ale srodze cięty w mowie.

„Trybunale, w diploidzie sprawiedliwości, w mitrze honora wiecznego przywitany, któryś in aula na stołkach sędziowskich godne swe członki rozłożył.

Ponieważ sam przedwieczny rządecia i nieśmiertelny całego świata dziedzie nietylko swoje boskie postanowił prawa, aby cały naród ludzki we wszystkich one obserwował punktach, ale też monarchom, książętom, i innym wyższej lub niższej kondycji panom z swojej szcrodobliwości doczesne pozwolił rządy, że mogą,

tak w złotej wolności państwa obfitujące, jako też w absolutnej potencji i władzy zostające królestwa, sobie wszelkie (quarum sunt firmamenta regni) stanowiąc prawa, i nam też partykularniejszych fortan dziedzicom, ad libitum et velle sui, z ludźmi cuius vis generis et sexus, obejmującemi fortany i granta dziedziczne nasze, postanowić doczesne prawa i nieodmienne dawać im kontrakty, consentiant Bóg, usus i prawo“.

I tego fundamentu się już trzymając, tak gruntownie a jasno rzecz wyłuszczył i impozycją ową rozwidnił, o Boską i ludzką pomstę krzyczącą, że już zdawało się, iż sędziowie nawet słuchać nie będą chcieli strony przeciwnej. Bo krzywda już jasna była. Ale, jak to namiętności nawet najprzedniejszy orator nie powinien się dać unieść, wielmożny Pożręba, rozdrażniony zachowaniem się nieprzystojnem imię Żaleskiego, który na najcelniejsze argumenta jego tylko wzgardliwie kiwał i coraz sztykat, sztykat, do swoich klientów podbiegał, coś im urągliwego szeptając do ucha, że w jednym miejscu najnieprzyzwoiciej końskim śmiechem parsknęli, zaczął, irytując się, ostrze swej wymowy więcej ku swemu przeciwnikowi niż ku sprawie samej kierować, o niecnym ludziach mówiąc i pokątnych radach, niegodnym każdego, co do grotna tej przeświecnej palestry piotrkowskiej na-



leżyć ma honor, i, labo nie wymienił nikogo de nomine et cognomine, gdy skończył obrazem tych wiernych prawa stróżów, co są jako brytany, oddrzwili templi Iustitiae strzegący, gdy plugawe kandle w koło nich ajadają, i to zgoła wierszem:

Gdzie są wierne brytany, wara liche pieski,  
Jako to...

tak nawet w oczach Mazarów, co to ślepi się rodzą, błysło nagle zrozumienie, i pan Śledź rad, że i on nareszcie znalazł pole do okazania się, huknął jak na boru rym: „imé Żaleskil“.

A chociaż w tej chwili w bok potężnego sztarchańca od pana Damięckiego odebrawszy, dłonią się potężnie po gębie uderzył, aż klasnęło, to już słowo odrazu wołem poszło w świat i wraz wielmożny Żaleski, sztykat, sztykat, podleciał do stoła i rozpoczął:

Kandel brytanowi gdy pokaże zęby,  
Brytan będzie z kundla, a kandel z...

I Śledź znów nie wytrzymał, śmiejący się całym gardłem: z Pożręby!!!

A wtedy huk się zrobił i rozgwar i śmiech i obarzenie, jedno przez drugie, a w każdym razie poczuli szlachta bracia, że i najszlachetniejsza sprawa przez niezgrabność własnych

defensorów, śmiesznnością okryta, w dyskredyt popaść może, gdy na szczęście powstał z krzesła sam pan Walewski, który przedtem mało co słuchał, w życiu, a w częstych funkcjach swoich arbitrowskich tyle się przeróżnych i przedziwnych mów nasłuchawszy, któremi strony sędziów usiłują przekonać, sedem materiae często zapewnie pomijając, iż nawet nieświadomi nieraz o drzemkę go podczas krasomówczych deszczów posądzali. A sam, gdy głos zabrał, krótko mówił, od serca, gorąco, a przytem przekonująco i trafnie. Ręką więc znak dawszy, by ichmoście wszyscy zmilkli, streścił odrazu kwestję całą, nie sentencji sądu, która jeszcze nie zapadła, nie prejudykując, ale przekonania swego osobistego nie tając, że gdyby się sprawa ku niekorzyści powodów obrócić miała, na tak świętego męża godzących, to zawczasu im tylko do łaski ojcowskiej się udać.—W kraju, jak w rodzinie, kto zgubne niesnaski, wznieca, gwałtem się postugując, unanimiter potępienia godzien—rzekł surowo—do kolan ojcowskich, błazny!

Młodzi się jeszcze stawiać chcieli, ale co było Walewskich w sali, a było ich sporo, zaraz szablami chrzęścić poczęli, a kuternoga klientom swoim racje, za zgodą przemawiając, widno przekładać zaczął, tak, że chociaż niechętnie, ale, do prałata przystąpiwszy,

do ręki się jego pochyliłi... A on przygarnął ich do piersi, chociaż z twarzą tak boleściwą, iż jeżeli faciem ludzką do boskiej przyrównać się godzi, ten Chrystus, na krzyżu rozpięty, z kracyfiksu nie boleśniej spoglądał na męty i brudy spraw ludzkich, które w tej sali roztaczać się zwykły. I niedarmo w Lublinie ukazają Go z twarzą odwróconą po aragającym sprawiedliwości i miłosierdziu Jego wyroku.

Ale tym razem zakończenie sprawy sędziom nie przyniosło ujmy, a szlachcie mazurskiej jej mężne wystąpienie od razu zdawało się rokować nagrodę, bo ledwo wyszli z trybunału, podbiegł ku nim dworzanin księdza proboszcza płockiego, który, na życzenie prałata osobiście nie asystując, jednakże bawił tak dla sprawy, jak dla procesu, wytoczonego ma przez szlachtę sienińską, w Piotrkowie, i do gospody, zajętej przez księdza proboszcza na sąsiedzki poczęstunek prosił.

Szlachta spojrzeli po sobie. Polityczność nakazywała iść, duma zagroziła. — Mamyż chleba razowego w tobołkach, wolej, niż księże przysmaki! — rzekł pan Stanisław Ciszkowski, choć ma się, po przydłuższem posiedzeniu w sali sądowej, bebecy w strony skręcały, i mieli się ku swej lokandzie po owe tobołki.

Aliści, nim tam doszli, zagarnął ich przecież dla siebie wojewoda Walewski, gości z da-

lekich stron zaklinając, aby jemu tego despektu nie robili, podjęcia w jego własnym domu odmawiając, przyczem i nowe strony i gościnność, wszędzie tę samą polską, poznają.

— Do mnie, w Sieradzkie, jeżeli łaska panów braci, proszę uniżenie, a chodźcie, pókim dobry i proszę, po dobrej woli — żartował — bo jak nie, to choćżeście chłopcy mocne, na schwał, aleć sile, która was w jasyr bierze, się nie oprzeci! —

Ale, że widzieli, że na serjo o gwałcie nigdy nie pomyśli, choć dwadzieścia szabel samych Walewskich mógł mieć na zawołanie, którzy oddawna co najpiękniejsze włości w Sieradzkim i Łęczyckim sobie powybierali, a sercem prosi, miłą gościnę przyjęli.

— Jenó, że mi jakiś obieżyświat łyżkę z za cholewy wyciągnął! — zwierzył się swoim, małkotnie, pan Długołęcki.

— Pewnikiem ten Niemiezyk, coś mu wazsze tabaki zadał — rozważył pan Ciszkowski — nie to, będziesz pan brat kromką jadł. —

A pan Śledź spojrzął z zakłopotaniem na chodaki swe, rzemieniem przytwierdzone, bo buty jedyne od święta, na koszty procesu się składając, był sprzedał.

— Jak ci wiara w sercu jest, a sygnet na palcu, to choćżeś bosi, wiesz, żeś szlachcie — zakonkladował pan Jan Damięcki.

Dwie niedziele podejmował ich pan Sieradzki, na wyścigi z krewniakami, i puharów tam wiele zgłębili i innych rzeczy, ino jednej nie, to jest koligacji wzajemnej Walewskich, którzy, wiecznie między sobą się pobierając, do takich dziwów pokrewieństwa doszli, że coraz to który sobie własnym wujem, czy stryjem był, ile, że gdyby się rodzic z matką, wspólnych pradziadów mający, nie byli pobrali, tylko każde z innem stadło stworzyli, jednego dzieci dziatkom drugiego, zasię teraz wspólni, w starszym stopniu byliby krewni. A dla powtarzających się często tych samych imion i najwprawniejszy przez ich genealogię nigdyby do końca nie trafił. Tylko rzymska, patrycjuszowska i książęca krew Colonnów, jedna z najpierwszych w chrześcijaństwie, przebijała w nich zawsze. Czarni byli i smagli, i, jako Włochy, gorączki naprzemian i dyplomaci. Na imienników zaś, co nie Kolumną, ino Różą tylko, lub innem, poniekąd też zacnem, godłem się pieczętowali, patrzyli z pańska. Przy wyjeździe też na podwodzie, przez cztery mazurskie, małe, ale różne koniki ciągnionej, klejnocików kilka w upominku się znalazło. Z Sieradza wracali Mazurzy na Płock, ku makowskim stronom, gdy ledwo rankiem październikowym do Płocka dobiwszy, zabiegła im drogę wieść nieprawdopodobna i niesłychana, że prałat Kamiński, zabit, że

proboszcz płocki, ledwie przed nimi do Płocka przybyły, porwał się gonić sprawców. Labo miał kilka godzin przed nimi, że z liczniejszym dworem wolniej, podwodę ostawiwszy, zgonili go i przyłączyli się do niego pod wieczór w Ciechanowie, wspólną sprawę swoją czyniąc. Na swoje najlepsze wierzchowce ich przesadził i tak w noc dżdżystą parli już razem, co teha w szkapach, przez Krasne, pod Maków, na przedzie w sutannie z złotym krzyżem na piersiach, z ostrogami wpartemi w boki końskie, ksiądz Marcin Załuski, proboszcz płocki, książe sieniński. A za nim sznurem szlachty czterech, zasię reszta dworzan. Pomimo wieści o nieznanym jakoby, zamaskowanym haltajach, którzy świątobliwego starca napadli, nie trzeba było zbyt lotnego rozumu, by prawdę zgadnąć.

Nie od wezora po świecie bożym i nie nad Narwią jedną chodzili, głowy rodów mazurskich: Jan Damięcki, Stanisław Ciszkowski, Długoszycki Stanisław i Śledź Marcin, spieszący teraz w orszaku tego, którego okrom sutanny za wroga mieli swego najzaciętszego, tam, gdzie ich wołała wiara, prawo i zwyczaj.

Patrząc oczyma duszy w bliską przeszłość za sobą, jak oczyma ciała w tę ciemną nocną, z której wyrzały tylko czasem, czarniejszą jeszcze, wysoką postacią, topole

przydrożne, to zachłapotało błoto pod kopyty podjezdaków, wraz zabielały ściany zaścianka, nie widząc, widzieli jak na dłoni tragedję całą.

Jak, powróciwszy z Piotrkowa, siedzą wnuki obaj w zamkniętych ścianach małej izdebki, już nie dziedzie. Pocięsza ich flasza i złą radę daje.

— Pobił nas klecha weiorności! — mówi Marek, młodszy, miększy.

— Ubijem my jego, psiego syna! — z odgrózką już postanowienie wchodzi w duszę Wita, starszego, dzikszego.

I idą w las, kozuchy włosom do góry przewracając, maski, kędyś z maszkarad przywiezione, dla niepoznaki zakładają. Ginie święty mąż od ojcobójezej broni.

Tymczasem młodzi panowie Kamińscy dla odwrócenia podejrzeń gorliwie się przygotowaniami do pogrzebu zajęli. Ciało na katafalku, czarnym kirem z srebrem obitym, w kościele wystawione. Trzy rzędy świec górejają w koło, płacząc łzami z wosku. Czarna maska na twarzy zmarłego, ukryć szpecizny blizn zbójeckich.

Tylko nikogo w koło, bo panowie dziedzie rozpędzili pospólstwo, z płaczem się gromadzące, a braci szlachty coś nie widać. Wnukom samym też do warty przy dziadzie niesporo, nad gąsiorami radzą; kilka pustych

brzuchy wywaliło, największy, z przepalanką, na schyłku.

— Aby jakiego wypadku nie było — trwoży się Marek — chłopstwo szemrze, szlachta stroni.

— Głupiś, co ma być? poznał nas kto? — fuka Wit — chybaby sam z martwych powstał!

— U niego to nie niepodobna rzecz, pamiętasz, z Częstochowy, sami uwierzyliśmy, że nie żywi!

— W własne gadanie!.

— Bracie, chodźmy zajrzeć, a naż on tam ożył i przed ołtarzem stoi... — Wit wstał ciężko, zatoczył się, parę pistoletów z ściany zdjął, panewki obejrzał. — Na napastnika, albo na nieboszczyka! —

Kaazyperdy go rymów nauczyły.

— A do budy, ha, ha, pod ziemię stary!

Takimi okrzykami zagrzewając się, poszli panowie Kamińscy oglądać, czy czasem dziad ich z katafalku nie powstał i przed ołtarzem mszy nie odprawia.

Ale nieboszczyk leżał w aureoli gromnie, jaskrzących wśród wół rozświeconych kościoła czarności nocnych, w niemej powadze śmierci, na katafalku, bo gdy dusze zmarłych czasami na świat wracają, w pokucie, czy drogich im za życia przestrzegać, niewidzialne pozostają oku ludzkiemu, do powłoki grzesznej nie wracając. Leczą od podmuchu,

gdy drzwi roztwarli, żółty płomień świec ma-  
snał po trupie i zażarzył widać jedną z cien-  
kich taśm, przytwierdzających maskę, bo gdy  
stali tak chwilę w milezeniu, ta nagle, zwija-  
jąc się od gorąca, odskoczyła od twarzy.

— Mówił

Strzał huknął. Szarpnięty wpijającemi  
się w ramię jego w zabobonnym strachu pal-  
cami Marka, sam uległszy na chwilę jedną  
zaraźliwej trwodze, Wit wypalił. Ale kula,  
niepewną ręką posłana, chybiła żółciejącej,  
krwawą blizną, niby piętnem, znacznej tej  
twarzy o surowych sępieh rysach, przewróciła  
liehtarz, od którego płomień rzucił się chei-  
wie teraz na frendzle kira, i, rykoszetując od  
filara, przeszła ciborium na ołtarza,

Mierząc już celniej, strzelił raz drugi.  
Mózg bryznął z strzaskanego czerepu szarą  
konsystencją, z kwią zmięszaną, na kobierzec  
i tafle kamienne posadzki.

— Nie zwiedzisz nas już, klecho!

Ale już przez pijane głowy przeszła im  
myśl, co teraz będzie.

— Klękni—głos załamał się Markowi—  
módlmy się, on święty... niech nas ratuje!..

Ranęli na kolana, za ręce się trzymając.

I Wit rozpoczął dzikim, zrozpaczonym  
głosem, odbijanym przez echa ścian, to wznoszą-  
cym się, jakby w krzyk groźby, to przyci-  
chającym szeptem strachu, to prośbą żarliwą

kwilącym, na raz dziecinną i blaźnierczą, bo  
nie z skruszonego serca, modlitwę: Ojcze  
nasz, który jesteś w niebiesiech...

Marek bełkocząc wtórował, gdy pod czasz-  
ką wiły im się skłębione błędne myśli, które  
wymieniali między słowami modlitwy.—Święć  
się imię Twoje, ani chybi, za świętokradstwo-  
już pewnikiem ukarzą, przyjdź królestwo Two-  
je—rok i sześć niedziel tarmy, abo więcej,—  
bądź wola Twoja,—aby nie kat,—Wit, czyś ty  
widział kata? — jak na niebie, tak i na zie-  
mi,—ciekaw ino, czy w Makowie czy w Płoc-  
ku nas zetną. Amen, amen,—i głowami bili  
w posadzkę, a Wit spojrział żałościwie na  
Marka, i—krzyk—palcem po gardle przeje-  
chał.

A katafalk płonął jak drzazga.

— Idą już!

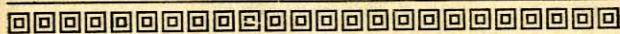
Tętent biegiem ziemię tłukących kopyt  
zbliżał się. Zabrzmiały głosy liczne i we drzwi  
wtłoczyła się harma szlachty i dworzan, wą-  
sate, straszne twarze wyjrzały z cieni a od-  
drzwi ku płomiennym czelaściom gorejącego  
pośrodku śmiertelnego rusztowania, gołe sza-  
ble połyskały w żyłastych dłoniach. Z po-  
między szlachty widniała groźna postać księ-  
cia sielańskiego.

— Wiązać ich!

Katafalk, pożarty ogniem, zapadał się.  
A gdy deski uginały się ku wnętrzowi, głowa

i tułów leżącego wzniosły się, iż chwilę zdawało się wstać chciał, a prawica uniosła się, skręcając się od skwaru, z rozczapierzonemi palcami ku górze, jak gdyby zmarły przeklinał, czy też litości błagał dla nieszczęsnej, wyrodnej własnej krwi.

ZIELONA PAPUGA.



**W** hotelu Wileńskim na Tłomackim, pod on czas, za namiestnikowstwa ks. Zajączka, a faktycznych rządów Konstantego Pawłowicza, jednym z najpierwszych w Warszawie, w dość obszernym pokoju pierwszego piętra, umeblowanym na wpół mebelkami hotelowymi, mocno zużyтыми, nawpół bardzo pięknymi sprzętami, wprowadzonymi najwidoczniej przez czasowego pokoju tego i sąsiednich mieszkańca, wieczorem letnim wokoło zielonego stolika, siedząc i stojąc, rozłożyła się grupa osób i jestestw żyjących dość dziwna i niezwykła. Za karcianym stolikiem, na którym w czterech rogach świece były pozapalane, gdy gości sory broniły dostępu jeszcze niezagastemu słońcu, siedziało naprzeciwko siebie na wygodnych fotelach dwóch mężczyzn, typów fizycznie niepodobnych, wskazujących jednakże pewne podobieństwo w rachach, gestach i zachowaniu.

Nizki, gruby, łysy, z twarzą szeroką, w jasnozielonym szlafroku w orzechowy deseń, pan Adam Nosarzewski, były pułkownik wojsk rosyjskich, ciągnął faraonika, rozkładając tłustymi paluszkami karty na dwie strony, z których jedna dla bankiera, druga poniterowi służyła.

Za fotelem pułkownika stało dwóch w fantastyczną liberję przybranych Marzynów, Hassan i Ali, z hacapami białymi na głowach, jeden trzymając cybach swego pana, drugi pochylając ma stojącą na krześle kasetkę żelazną, z której bankier w miarę potrzeby czerpał raloniki, papierem z cyfrą owinięte, zapieczetowane woreczki, schowane również, i pojedynczo rozsypane dukaty, klnąc po francusku z cicha, ale tem dosadniej, im więcej z zawartości skrzynki przechodziło w ręce partnera, którym był gość z Petersburga, w przejeździe w Warszawie, generał-lejtnant w służbie czynnej, grafi Butarlin. Była to w ową chwilę najgrubsza partja w Warszawie i w czasie, kiedy grywali wszyscy, dwaj najwięksi gracze na Polskę i Rosję, może na cały, bez ojezyny świat graczy. Na drażku w kącie dała się papuga, koloru trawy morskiej, z ponowymi rabatami, wymyślając swemu panu, który, gdy krzyczała zanadto, strofował ją:

— Tais toi, cocotte!

— Saligaud, saligaud! — odpowiadała ma

zacięcie. Podawał jej na to Marzyn z srebrnego pudełeczka kawałki cukru, poczem się czasem uciszała, a czasem nie.

Generał-lejtnant Batarlin, w ciemnym z wązkimi galonami półmandarze rozpiętym, mężczyzna ogromny, niegdyś ozdoba kawalergardów Imperatorowej, ociężały nieco z wiekiem, przywiózł z podróży po Wschodzie, którą z rezydentury a carzyków Chiwy i Bachary do Chin odbył, nieodstępną parę Chińczyka i Chinę, których wieku żadnym sposobem, a płeć chyba w łaźni można było odgadnąć, tak odpowiadali sobie kształtem szafranowych twarzy i po pięty warkoczy. Tylko Chinka była drobna i siedziała z podkalonemi nogami na szezlongu, gdy Chińczyk z wachlarzem czatował za fotelem generała na ralony ze złotem, które ma tenże czasem do ręki, ale częściej do kieszeni szerokich niby plader, niby sukni czarnej, jako do kasy swej podręcznej, wsuwał.

Uzupełniał ten pejzaż, jeden z tych niewymarzonych, jakie nie w Arabii ani nad Gangesem, ale właśnie tylko w tym karawanseraju narodów i typów, w Polsce, można było oglądać, jastrząb wpółoblaskawiony, z zawiązanemi oczami, alabieniec Rosjanina-myśliwieca, łańcuszkiem przytwierdzony do postamentu, nad którym zawisł; instynktownie jednak raz po raz drapieżne pazury wywrotem odwracał ku



papudze, która wtedy skrzeczeć poczyniała jeszcze przeraźliwiej.

Szczęście wahało się, chociaż więcej sprzyjając Rosjaninowi. Ale nagle odwróciło się stanowczo przeciwko niemu. Jedna karta za drugą padała dla banku. Z kieszeni chińskich wyjeżdżały raloniki i węzłki jedne za drugimi z powrotem do skrzynki, gdzie je Marzyn Nosarzewskiego, z labością białkami przewracając, pieczołowicie chował, jak matka przygarnia zbłąkane, do domu rodzicielskiego powracające dzieci. Wyjechało dalej kilka ralonów, których Marzyn bez kwestji jeszcze nie znał, bo je oglądał troskliwie, i palares, biletami bankowymi napechany. I te czarny, z widocznym lekceważeniem, mniej je miłując niż złoto, pomieścił, zwinięte w kłębek, w kasecie.

Aż nieszczęśliwy gracz, sięgnawszy znowu ręką do zwykłego schowania, nie tam nie znalazł. Uszczypnął Chińczyka w udo, ale ten zniósł to z heroiczną wytrzymałości. Przemówił potem do niego kilka słów ostrych po rasku, ale Chińczyk szerokim gestem patetycznym rozłożył ręce, dokumentując nim swą niewinność. Wtedy Baturlin podniósł się z siedzenia w całej swej okazałości, a gdy stanął obok syna, także słusznego wzrostu, przynosił go jednak o głowę. Nagle jedną ręką złapał go za warkocz, drugą ujął w pas i, sta-

wiając go głową na dół, sztorem na ziemi, zaczął nim potrząsać, że chwiejące się w złotych pończochach i takichże sandałach nogi Chińczyka, wśród rozpadających się sakni, wyglądały jak prążki jakiegoś potwornego, czarnego kwiatu. Spadł złoty deszcz. Potoczyło się kilka sztuk złota. Graf roześmiał się z zadowoleniem, że raz jeszcze przyłapał złodzieja.

Ale, gdy chytry zjadacz ryżu powrócił już do postawy, zwykłej ludziom, z miną obrażoną macając swój warkocz, czy nie poniósł szkody, pan pułkownik Nosarzewski spojrział na niego bystro i złośliwie swemi malutkimi, w tłuszczu tonącemi oczkami i, podnosząc się także, jak na tak opasłego człowieka bardzo szybkim i zręcznym ruchem, wyciął szafra nowego w gębę.

Chińczyk wypluł dukata.

— Hein, quel bonze, encore une fois, attrape!

Prask z drugiej strony, drugi dukat.

A papuga darła się dalej:

— Attr-rape.

Leez, gdy zamierzał się potężnym ramieniem zdumiony sam pan bonzy, nim rękę podnieść zdążył, z żółtej osobistej skarbonki, jako owoc postrachu, wypadło kilka monet naraz.

— Widzisz, kokotko, mon animal chéri, jaey ci ludzie są nie warci, fi, le voleur!

— Voleur de ma vertu... — zaczęła kokotka jakąś arją.

— Tais toi, mal elevée!

— Mal elevée, polisson, polisson!—skrzeczała papuga.

— Nic, kokotko, nie wszyscy tacy—przekonywał pan pułkownik, zezując w tył ku Marzynywi—oddaj ten cukier, łakomecze!

I Marzyn blednąc, co pono jest a czarnych toż samo, jak gdy biały się ramieni, wyciągnął z za pazuchy kilka kawałków cukru.

Poczem partja już bez przeszkody szła dalej.

— Na moje Wiaziemskie dobra w tambowskiej gubernii.

— Kaci cię tam wiedzą, jakie tam one są, te twoje dobra w tambowskiej gubernii, i ja napewno ich tam nie pojedę oglądać, pewnie niebo i ziemia, jak w moich litewskich—medytował pułkownik — ale tyle wiem, że są, i z weny trzeba korzystać.

— Excellence, la déveine vous poursait—odradzał jednakże grzecznie.

— Bah—machnął ręką tamten,—ça changera.—Jakoż mogło tak być, bo grali już ze zmiennem szczęściem od wczorajszego wieczora, to jest od godzin dwudziestu czterech, z małemi paazami tylko na jadło i picie. Zresztą przegrana kilka, albo nawet kilkanaście tysięcy dukatów nie robiła ani jednemu

ani drugiemu zbyt wielkiej różnicy. Generał, ze starej bojarskiej rodziny, miał znaczne dobra dziedziczne i w karierze zdobyte, donacyjne, nie mówiąc o niewielkiej względnie pensji generalskiej, mimo że trafiały się akcydensa; pułkownik Adam Nosarzewski dobra, skonfiskowane ojca, ostatniemu rotmistrzowi hasarji polskiej—chociaż tylko *de nomine*, bo hasarji już nie było, ale zawsze szarża ta, za grabe pieniądze kupiona, brzmiała pięknie — dzięki osobistym stosunkom służby wojskowej w wojsku rosyjskiem odzyskał, a było tego coś dwa tysiące włók ziemi na Litwie i lepszych kilka pięknych majątków, pszenne i żytnie, w Ciechanowskiem, oprócz gotówki.

Jednakże, gdy ekscelencja, podczas tasowania kart przez partnera zrobił krótki obrachunek sam przegranych kredą na zielonem saknie, chociaż *beau joueur*, nie mógł pokryć pewnego wzruszenia.

— Je perds dans les quarante mille livres d'or—wyrwało mu się.

— Quar-rante, quar-rante—szydziła papuga.

— Si cela suffit à votre Excellence?..—zapytał trochę ironicznie partner.

— Niet, niezwo—zniecierpliwił się przytykiem do uchybienia przeciwko dobrego smaku—połowę Wiaźmy już pan masz, druga połowa na odbicie, quitte ou double na waleta.

Tamten zawahał się jednak chwilę:

— Czterdzieści tysięcy dukatów?

— Parfaitement, da, na waljeta!—apokoryzył go obojętną odpowiedzią graf. Karty padały, odwijając się zwolna. Z ukrytem pod maską obojętności najwyższem napięciem nerwów śledzili je gracze. Walet nie zjawił się.

— Korol, as — szeptał Batarlin,—żał mu było kart, padających na jego stronę, na które nie stawił — dziesiąteczka bubnaja, ceci me porte toujars la guigne, le dix de carreau,—oh, waljeta!

Walet odwinął się po lewej stronie, bankierskiej.

— Vale Wiaźma dla ciebie, kochany grafie—pomyślał pułkownik, ale z obowiązku położył jedną kartę po prawej stronie, dla ponitera. I tam padł walet.

Wypadek taki nazywał się w technicznem oznaczeniu języka szulerskiego: „pliez“—kombinacja, obmyślona na korzyść ciągnącego karty, to jest bankiera, któremu dawała prawo albo do połowy stawki, oznaczonej na zagiętej karcie ponitera, albo też ciągnąć karty dalej z tym awantażem, że jeżeli następna równa karta padała po stronie przeciwnej, poniter otrzymywał tylko swoją stawkę z powrotem, gdy zaś padła dla banku, bank brał ją całą. Z drugiej strony gracz, stawiający przeciwko bankowi, mógł się okupić natych-

miastowem poświęceniem połowy stawionej sumy.

Nosarzewski spojrział na generał-lejtnanta.

— Continuez!—zakrzyknął ten.

Karty zaszeleściały.

Po kilka obojętnych pociągnięciach walet—i to treflowy, podług odwiecznego zabobona graczy najnieszczęśliwsza karta, — mignął w palcach bankiera, układając się po jego stronie.

Rosjanin spojrział dziko na nieszczęsnego niżnika, schwycił za niego, mnąc go w dłoni; porywając się od stołu, złapał za długi pistolet kawaleryjski, leżący na małym stoliku przy kasetce pułkownika, i wypadł do pokoju obok sypialni Nosarzewskiego. Zagrział wystrzał.

W saloniku powstał zamęt bezładny. Nosarzewski skoczył, jak sprężyną pchnięty, na ratunek, marzynie upadli na kolana, z kasetki przewróconej rozkulały się dukaty po podłodze, papuga przebudziła się, wydając ogłuszające wrzaski; Chinka z kanapy, nieśmiało wyciągając okaleczone w liliputowych sandałkach nogi, krokiem kołyszącej się kaczki podrepiła ku sypialnemu pokojowi; tylko na bezwąsych wargach Chińczyka przesunął się zły uśmiech tryumfalny.

— Na środku sypialni stał graf Batarlin

z dymiącym jeszcze pistoletem w prawej, ściśniętą w pięść lewą ręką grożąc zatkniętemu rogiem w szparę framugi okna, przedziurawionemu kulą waletowi.

— A sakinsynt ubił jowo! —

Grauze wrócili do stołu.

Ali, na klęczkach jeszcze, wyciągnął domyślnie nową talię kart.

Na korytarzu, pod drzwiami, rozległy się kroki, głosy wystraszone, niecierpliwę; przez ostrożnie uchylone drzwi zajrzał gospodarz hotelu.

Grafi rzucił mu przez ramię:

— Szampanskawo!

Po tym incydencie gra ożywiła się jeszcze więcej.

— U mienia jeszcze dobra matczyne w Archangielskiej gubernji—pocieszał się Butarlin, pod wpływem wina wpadając w dobry humor.

— Djabie zimno tam być masi—żartował już głośno Nosarzewski—zmarzłbyś tam, Ali. Nic, kokotko kochana, pojedzie tam nasz plenipotent, pan Poniedziałkiewicz,—a co nakradnie—chyba lodu? Będę liwerował Sema-deniemu do jego mrożonych ciastek!

Alę zapisaniem było w księgach przeznaczenia, że te zamki na lodzie księżycowymi pozostaną, bo wraz z ubitym niżnikiem ubił generał-lejtnant i swoją guigne. Odwróciło się

odrazu. Karta za kartą służyła mu, jak przy-ciągana jakimś magnetyzmem na jego stronę.

— Co się krzywisz Ali? Jaż do Archangielska nie pojedziesz!

Za pół godziny dodał pan jego żałośniej:

— Ani pod Tambow. Konie tam dobre!

Ale, gdy Ali ostatnie węzełki wyciągnął i kasety dno zaświeciło, a Chińczyk z nadętemi biodrami wyglądał, jak postawione na słupie czarnym, z wystającym ponad nie drążkiem, dwojaki, pułkownikowi się żartów bez mała odechciało.

— Ty spisz, kokoto, nawet mnie nie żałujesz. Nie lepsza jesteś od ludzi, malhon-nête!—Próbował jeszcze dowcipkować.

— Maladetta, maladetta!—krakała sennie.

— Po swoje w piekło!—i nie tyle może przegrana własnych pieniędzy bolała go, co, że współzawodnikowi swemu w randze największego gracza tak dał się wyslizgnąć. Ambicja jego cierpiała na tem.

Zmienili role. Generał bank trzymał, Nosarzewski poniterował, ale z równą deweną. Graż zwykle zimny i przy całym zachwalstwie ostrożny rozpałał się coraz więcej. Dwunasta w nocy dochodziła. Grafi, którego kolosalna struktura mniej znosiła bezsen i brak wypoczynku, niż niezmordowanej energii tamten, ziewnął. Szampan podniecił go w pierw, teraz zaczął go usypiać. Nosarzewski wie-

dział, że grał, wygrany, nie wstanie od stolika, raz, żeby to za niezgodne z honorem światowca i renomą wielkiego gracza uważał, a potem, że zasadą d'un joueur de marque jest, póki się wygrywa, grać dalej, jadąc po wienie, jak po przelegającej nareszcie do mansztaka odpornej kobyle. Ale Batarlin mógł usnąć, i wtedy partja się kończyła, bo ze śpiącą papugą można rozmawiać, ale z śpiącym partnerem grać niepodobna. Więc pomimo całej wytrawności i świadomości, że nigdy niezycziwej fortunie wbrew się nadstawiać, tylko już chyba—plecami, zaryzykował i on, w najniesposobniejszym szczęścia momencie, swój *grand coup*. Do czterdziestu odegranych poszło dwadzieścia tysięcy jego. Dama już kilka razy przeszła na stronę bankiera. — La donna è mobile—pogwizdnął pułkownik:

— Va banque, na damę!

Generał-lejtnant roztrzeźwiał. Począł, że była to chwila zapasów śmiertelna, ostateczna—dla niego strata dóbr, konieczność szukania nowych źródeł dochodu. A Batarlin był wielki pan, nie łapownik, zaś przyzwyczajony do wydawania bez rachunku, nie pojmujący życia inaczej. Stryj jego otruł się, zrajnowany przedtem, i on sam w dewenie wszystko na jedną kartę postawił, ale, odzyskawszy teraz z naddatkiem, nie miał ochoty znów wszystko zaryzykować. Jednak rzekł:

— Va!

Dama karowa.

— Ot krasnawa diwoczka! — bankier nie mógł pohamować swego radosnego wzruszenia. — A dla was, Adam Adamowicz, diesta-toeczka! Je vous plaindrais sincèrement, cher ami, ale to byłoby obrazą dla pana. A teraz na którą kartę?

— Encore une fois, la même somme à la dame!

Graecze zatrzymali oddech w piersiach. Małe kartony tekturowe, dla zabawki wynalzione a ważące fortuny i życia, padały leniwie. Los czekał. Cicho było w pokoju, tylko kart szelest. Nawet Ali, nie rozumiejący znaczenia cyfr niepochwytnych ogromu, białka nieruchomo wytrzeszczył. Hassan zapadł w nieruchomość przy nienatkanym do końca cybuchu. Chińczyk, z ręką z wachlarzem skośnie wyciągniętą, zamarł w wachlowaniu w pozie drewniano sztywnej bożków swego kraju. Chinka wzniosła się na kolanach, z wyciągniętą złotą szyją. Papuga, łeb podskrzydła schowawszy, przedstawiała widok zielonego kłębka, jastrzęb spał na jednej nodze.

Zegar wydzwonił w głośny powolny szczękiem północ, świece płomyki zapłonęły wyżej, jastrzęb nagle wrzasnął przeraźliwie.

Dama pikowa tym razem, leżała po stronie bankiera.

— A dla was — monotennie mówił bankier — walet treflowy. Miatieżnik apokorzył się!

Trochę zawstydzony własnem szczęściem, graf Batarlin jeszcze grać był gotów.

Ale pałkownik miał dosyć.

— Poproszę waszej ekscelencji o dwa tygodnie mory na uregulowanie.

— Oh, tout à votre aise... Więc nie nie gramy dalej? —

Pierwszą myślą Nosarzewskiego, gdy się rozstali i generał-lejtnant, popychając Chińczyka przed sobą, z drepczącą Chinką za nim, jastrzębiem, pokazującym pazury kokotee, ruszył na krótki spoczynek, skoro świt mając wyruszyć do Petersburga, było, skąd najspieszniej wydobyć potrzebną na zapłacenie długa samę, drugą, jak ją z lwiej paszczeki znowu wyrwać.

Pierwsze było łatwiejszem do rozwiązania przy pomocy przyjaciół i lichwiarzy, zastawem dóbr litewskich, ściągnięciem tenaty na parę lat naprzód z włości płockich, ostatecznie przez arrangement ze szwagrami, z którymi się procesował, — ale gorzej z drugim.

Wielki viveur petersburski, raz dostawszy pieniądze do ręki, ani chybi w parę tygodni jednego oberżniętego dukata z nich nie utrzymał

— Niema rady, petite cocotte chérie —

trzeba samemu z pieniędzmi za ekscelencją do Petersburga jechać, — zawsze lepiej, niż do Archangielska. Ali, możesz sobie wziąć kawalek cakru, ale w pierw zdejmiesz mi pantofle. Szczęściem, że żony nie mam, — dopierożby była awantura po takiej calamité!..

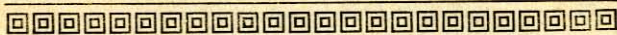
I jeszcze przewracając się długo na łóżku, upominał chrapiącą kokotkę, że nie jest lepszą od ludzi, bo i ona ani odrobiny serca dla niego nie ma, wyrzekając na swoje nieszczęście, i że jedyną jej zastęgą to tylko, iż go nie okrada, jak Chińczyk Batarlina, który się nawet na tem nie spostrzegł.

— Nie to, że przegrałem, ale że do głupszego od siebie przegrałem, boli mnie — i z tem zasnął.

Pałkownik rzeczywiście za swoim adwersarzem do Petersburga pojechał, z marzynami, papugą i skrzynią z dukatami, i fortuna, która hazardowcom, gdy przytem są konsekwentni, sprzyja, pozwoliła mu odegrać połowę przegranej sumy. Odtąd zabastował i, dawszy sobie słowo, że więcej w hazard grać nie będzie, że był z tych ludzi, którzy słowa dotrzymują, tej przyjemności się wyrzekł. Ale, że podług niego tylko cztery rzeczy na świecie warte były, żeby się nimi interesować, mianowicie: kobiety, konie, wino i gra, więc, gdy z płci słabej doszedł był na podstawie licznych doświadczeń do przekonania, że tylko jego

kokotka, i to jeszcze licząc się z jej kapry-  
sami i brakiem serea, jest coś warta, końmi  
dla wieku, otyłości i predylekcji do życia w mie-  
ście nie bardzo mógł się zajmować, wino mu  
dla podagry doktorzy, a gry teraz sam sobie  
wzbronił, więc jaki sposób urozmaicenia so-  
bie dalej życia wynalazł, o tem traktuje inna,  
równie ciekawa, jak z szczegółowych opowia-  
dań, zostawionych przez naocznie przytomnych  
wiernie zdjęta historja, pod nagłówkiem: „Ostat-  
ni Zajazd na Mazowszu“.

## OSTATNI ZAJAZD NA MAZOWSZU.



Gdy pułkownik Adam Nosarzewski wrócił z Peterbarka z odegraną od grafa Baturlina połową sta tysięcy dakatów holenderskich i z przysięgą nie hazardowania więcej, a z trzech pozostałych kardynalnych osi życia, kobiet, koni i wina, dla niedomagań późnego wieku już dawniej zrezygnował, kontynuacja nudy starokawalerskich, w quasi małżeństwie tylko z kłótniwą i bezmyślną zieloną papugą, powierzoną teraz szczególnej pieczy negra Alego, który pustej, gdy wypadło zaciągnięte pożyczki oddawać, żelaznej kasety, z kilku taliami kart tylko, nie miał co pilnować, prędko mu się nudzić zaczęła. Miał jeszcze w Warszawie stałą partję wista, gry, którą, jako rozbudowaną i dyplomatom najmędrszym ulubioną, bardzo cenił, z słynnym konsyljarzem Czekierskim, także przypadłości pułkownika, jako to serca i wątroby, leczącym, i śpiewaczką Veglioni,



którzy się wzajemnie nie bardzo znosili, bo doktor był mąż poważny, surowych obyczajów, a Włoszka ze swego, dłaższego jaż życia zrobiła jedną arję miłosną, przeciągając ją tylko trochę zanadto, co się i najlepszym śpiewaczkom zdarza. Kiedyś—pułkownik był dyskretny i nie lubił zresztą skarg na spustoszenia, które sprawił, ale Włoszka w późniejszym wieku chełpiła się chętnie minionymi sukcesami — łączyły ich bliższe, przelotne węzły, gruchaniem ze strony jej, a złotem z jego strony dzierzgane — ale dzisiaj zdeklarowaną faworytką była mniej wymagająca papuga, i jej poprzedniczka pełniła tylko rolę ożywionego, aż nadto, ale również mało inteligentnego jak twierdził pułkownik, automatu do rozdawania i wyrzucania z siebie kart.

— Żebyś ty miała ręce, papużko moja... *n'est-ce pas, cocotte chérie?*—odwracał się do kołyszającego się za ramieniem jego ptaka w chwilach, gdy *cantatrice*, nieuważnie lub zapaliwszy się, króla własnego partnera biła swoim asem. Lecz, gdy Włoszka rzucała karty, przysięgając się na wszystkich świętych, że żadna *barbara soldatesca* nie jest brutalniejsza od obecnego w pokoju *traineur de sabre* i że więcej z nim nigdy, przenigdy grać nie będzie, pułkownik całował znowu z najpiękniejszym komplementem jej *menotte*, która rzeczywiście była maleńka, jak u dziecka, tak że, czego co-

prawda głośno pan Adam nie wypowiadał, aż trudno było sobie wyobrazić, iż tyle *scudi* się w niej pomieścić zdołało.

Tymczasem doktor Czekierski oczekiwał długo z flegmą podjęcia kart na nowo, aż konkludował:

— Więc będziemy dzisiaj grać dalej, czy nie?

— Nie masz się, konsyljarzu, po co do swoich konsyljów śpieszyć. Każdy chory ma ten rozum, że nakoniec i bez ciebie umrze.—

Ale wtedy znowu Czekierski, pomimo ogromnej sławy na Warszawę i rzeczywistej wiedzy i zdolności na tego rodzaju żarciki jednak drażliwy, kładł karty i, słowa nie mówiąc, za łaskę hebanową z gałką z kości słoniowej brał, wynosząc się, tak, że rzadkim trafem trzy obowiązkowe robry szczęśliwie dobiegały do końca.

Z tem wszyskciem wiele rzeczy trwa długo jedynie siłą tego faktu, że trwają,—tak i partja wista pułkownika. Ale niecierpliwa jego natura, nie znosząca zbyt długiego *status quo*, wywołała ostatecznie katastrofę.

*Cocotte*, pasiona nadmiernie przez Alego ulubionemi ziarnami słonecznika, zachorowała. Pułkownik posłał po Czekierskiego i niepojętym wręcz sposobem, bo przecież potem weterynarz wojskowy w haftowanym mandarze chętnie i troskliwie się zajął tak miłą pa-

ejentką, doktor Czekierski obraził się na serjo. Może byłby się udobruchał, gdyby pan Nosarzewski nie zrobił jeszcze więcej serjo sceny o tę niedelikatność. Włozka ofiarowała się, co prawda, grywać dalej z dwoma, ale nie-szczęściem, nadużywając wyjątkowej sytuacji, wyraziła się, że z trzema dziadkami, więc pułkownik zwrócił jej zirytowany uwagę, że zapewne Ali jest znacznie młodszy od niego i w braku adoratorów... Signora, nazwawszy niedwawnacznie wyszczerzającego zęby w zachęcającym uśmiechu Alego czarnem zwierzęciem w małej postaci, dostała spazmów. Kosztowało to pułkownika—brylaneik i westchnienie.

W ślad za tem Ali przyczynił mu zmartwienia. Brak zajęcia początkiem złego. Ali rozkochał się w pokojówce z hotelu Wileńskiego, którego pułkownik stałym był gościem i wzajemności nie uzyskał, ale, dla swojej bogdanki, on, który dawniej ledwie kawałek cukru śmiał sięgnąć papadze, poszedł śladem okradającego grafa Batarlina Chińczyka.

To wszystko razem doszczętnie nażyło i gnębiło pana Adama.

— Albo się nudzę, albo irytuję. Rozmaiłości żadnej!—atyskiwał.

I właśnie to najwięcej, a nie tyle, jak twierdził jego szwagier, mąż jego starszej siostry, Jabłonowski, strata finansowa, ponie-

siona przez grę, było powodem do kroków następujących:

Było to w połowie roku 1830-go, w Warszawie posępnie i cicho, chociaż tylko wtajemniczeni przewidywali gotujące się wypadki, gdy pan pułkownik, najmniej o nich myślący, nie biorąc nigdy w życia publicznem udziału, zawołał do siebie męża swej siostrzenicy po drugiej swej siostrze, rejenta Antoniego Cyprysińskiego.

— Siadaj!—wskazał mu miejsce. — Chociaż młody jeszcze, prawnik przecież jesteś biegły, no i, słyszę, statuty banku polskiego układasz i Zamojscy ciebie się radzą i, że szwagier mój, Romocki, córkę swą tobie oddał, nie mógł mędrszego nic zrobić. Nie to, co mój szwagierek Jabłonowski, któryby najchętniej skórę ze mnie zdarł, i przeciwko temu masz mnie a i siebie — boć, po mojem najdłuższem, tfa, życia, Jabłonowskiemu nic nie zapiszę, tego możesz być pewnym—teraz broń. *Je me remets donc à vos lumières, cher neveu.*—

Leccz *neveu* nie dosyć zdawał się zaszczonym tym dowodem zaufania i zwierzeniami w sprawie, znanej mu zresztą dostatecznie. Pan pułkownik zwrót dóbr, skonfiskowanych ojca, wpływami swymi odzyskawszy, nie myślał się niemi z rodzeństwem dzielić, uważając, że łaską Najwyższą jemu osobicie są oddane. Może co do litery prawa miał rację, ale w każdym razie z widoczną

rodzeństwa krzywdą, które proces wszezęło. Proces ten, przegrany w sądach, ale wygrany w opinii publicznej, potężniejszej wówczas niż dzisiaj, zakończył się polubownie tymczasową ugodą, w której Adam Nosarzewski Jabłonowskiemu już za życia część swoich dóbr płockich, mianowicie majątek Szułmierza z przyległościami, Romoekiemu znacznieszą resztę, dożywociem ją zatrzymując, odstąpił; dobra Kamieńca Litewskiego pozostały przy nim, jako własność osobista. Ale tak szwagrowie, mianowicie Jabłonowski, który stryjecznych mitrą książęcą zdobnych miał a sam, jak mawiał, nie po to się z szlacheńską płocką ożenił, żeby z nią dziadowskie pacierze i biedę klepać, gdy Romoeki na Sałkowie i kilku innych majątkach siedząc, a z żoną swą z miłości się pobrawszy, też przez wzgląd na nią spokojniejszego był usposobienia i więcej kapela, którą sobie trzymał, zabawiał się,— jak więcej jeszcze pułkownik sam z tego układu nie był zadowolony.

I, nie mając się niczem innym zajmować, równocześnie nowem zajęciem straty w ostatnim czasie poniesione odzyskaniem odstąpionej Jabłonowskiemu schedy pokryć sobie wziął. Co przedstawiało tem więcej urozmaicone zadanie, że z tym przeklętym galicjaninem, dumnym i zawziętym, nie dobrze było koty drzeć.

Ale właśnie takie ryzykowne perypetje pułkownik, niby jęcząc na nie, ogromnie lubił.

Więc gdy pan rejent Cyprysiński, grzecznie słuchawszy wujaszka, z całą atencją, ale zimno mu zdeklarował, że się tej sprawy i wznowienia procesu nie podejmuje, pułkownik go nazwał niewdzięcznym. Nie odstraszyły go także odmowne responsy i innych prawników. Znalazł się wreszcie jakiś kauzyperda, który akcję wszezał, przeciągając ją długo—bez skutku. Ale pułkownik od pomysłu bynajmniej nie odstąpił. Nie tak—to tak.

Wybrał się też zaraz do swego sąsiadującego z Szułmierzem Kozieczyna, akcję na miejscu rozpocząć. Tu mu jednak zabrał najpierw trochę czasu zatarg z innym sąsiadem, generałem Wincentym Krasińskim z Opinogóry.

Posłał pan pułkownik wozy ze zbożem do Pułtaska. Pod samą Opinogorą, gdzie świeżo generał w podróży na ciężkiej ziemi kolasa, z wszelkimi przyborami do dłuższych peregrynacji, materacem rozkładanym i stolikiem do pisania, w ośm koni, sześć pocztowych, które mu się z rangi należały, i parę własnych, był utknął, tak, że go na rękach do pałacu przenosić musiano, przyczem, upuszczony, w błocie się skąpał, niczem w sprawie Bielińskiego, na rozkaz jego duchem reperowano drogę. Rządca, na którego głowę

pierwsze gromy z powodu jej haniebnego stanu spadły, zwał się winę na wołami uprężone podwozy z Koziczyna, które, tędy ładowne zbożem do Pułtaska idąc, za głęboko się w ziemię hrabiowską worywały.

— Nie paszczać!—zakomenderował hrabia Wincenty.

— Jak mi wasan nie przejedziesz—zapowiedział swojemu nadpodstaroście pan Adam—to się wasan sam do kałazy połóż, a nie wracaj!—

Wobec tego, gdy główni dowódcy, nie pospolitując się, za marami swoich rezydencji odczekiwali *belli eventum*, nieszczęśni wykonywacze ich woli gotowali się skóry nadstawić, ale, zdaje się, porozumiewszy się uprzednio, niby w pertraktacjach w karczmie przydrożnej zasiedli się przy butelece, gdy znowu ich podwładni z wielkiem wyładowywaniem najsiarczystszych przekleństw i groźnem trzaskaniem z batów mieli się rozprawić. Ale na tych homerycznych przygotowaniach zbyt wiele ludziom czasu schodziło, tymczasem wołki znicięrlpliwły się i, jak ruszyły, tak nie oparły się, aż o wiorstę za Opinogórą—skąd już nie było polecenia ich zawracać.

Koziczyńscy więc tryumfowali, a z nimi pan pułkownik.

Jenerał przyjął tłumaczenia swej strony dosyć kwaśno, ale oznał, co znaczy vis major.

— Mar postawić!—

I stanął mar, na cztery łokcie wysoki a dwa graby.

Nie dowierzając nie tyle impetowi ile dobrej woli swych czworonogich sprzymierzeńców, pułkownik już rozmyślał nad tem czyby z Modlina armaty nie pożyczyć, ale—książę Konstanty byłby może wybryk, nie pozbawiony hamora, darował, lecz nie przeciwko swemu faworytowi. Trzeba było dać pokój i tem więcej obrócił się teraz ferwor pana Adama przeciwko szwagrowi.

Ten siedział tymczasem, nie bez pewnego zaniepokojenia wobec niespokojnego sąsiedztwa, w Szalmierza i samował. Bo był statysta i z wszelkich, nawet najmniejszych objawów zewnętrznych wyciągał głębokie wnioski. Był to starzec, pańskiej postawy, w pudrowanej peruce, z łaską w ręku.

Podpierając się, wolnym krokiem chodził po szpalerach ogrodu szalmierskiego nad stawami, niecierpliwąc się, gdy się czasem bzykający komar zameldował, a cierpliwie znosząc potoki wymowy cieszącej się wielkimi jego łaskami starej baby, na łaskawym ehlebie przy kuchni przytalonej, Bartłomiejki. Była stara i brzydka, że najpodejrzliwszy nie byłby znalazł w tych spacerach nic zdrożnego. To też słażyła ona panu tylko ku wypoczynkowi amysłowemu, bo nie tak amysła nie odświeża, jak wykąpanie się w źródle szcze-

rej głupoty. Z tej maksywy wychodząc, cenil wielce swego ekonoma vel rządce, Smaskiego, i gdy ten z kakania kakałki na wiosnę nieomylnie wojnę wróżył, przyjmował to z równie niewzruszonym spokojem do wiadomości, jak raporty gospodarcze, koncentrujące się w różnych klęskach, jako że starsze woły popadały wszystkie, a że młodych weale niema, więc niewiadomo, co będzie.

— I mnie niewiadomo, panie Smuski, ale powoli, zastanowiwszy się wspólnie, może dalszej calemité zapobieżymy.—

I Smuski namyślał się nad tem, czy pan może padłe stare woły znów do życia powoła, czy młode stworzy.

List, w którym szwagier domagał się kategorycznie natychmiastowego zwrotu Szałmierza, wywołał w pana Józefie Jabłonowskim niejaką *perplexité*, ale, namyśliwszy się nad nim trochę, dał odpowiedź, ministerjalnie wystylizowaną, aby mogła znaleźć miejsce w archiwach familijnych. Były tam i lekkie aluzje do mezaljansu i przytyki do tych, którzy w służbie obeej szukali szczęścia, woląc to, niż służyć ojczyźnie—bo Jabłonowski sam, chociaż tylko dyplomata, Polak był zapalczywy—i o podstawach kardynalnych prawa zasady, wyjęte z kodeksu napoleońskiego, naszkicowane ogólnoludzkiemi refleksjami, jakie dał Jean Jacques Rousseau.

Nosarzewski nie odpowiedział nic,—co

było tem więcej niepokojące. Jego szwagier nieodmiennie codzień w najokratniejsze gorąco południa, bo sypiał długo, wychodził, w tych razach w asystencji Smaskiego, za wieś pod krzyż przy drodze ku Kozieczynowi i, przysłoniwszy od blasku słońca oczy ręką, spoglądał długo w stronę, skąd się, jak dołąd, żadna nowa chmura nie pokazywała. Co ten szlachcie tam robi, co zamierza?...

Co się tyczyło zamiarów pułkownika, niebawem pan Jabłonowski nie miał mieć względem nich najmniejszej wątpliwości. Chaim Wosk, faktor, przyniósł wiadomości, potwierdzające się z innych źródeł, że pułkownik sąsiadów swoich, drobną szlachtę, panów Szczepankowskich ze Szczepanek, pijąc z nimi, z wielkim uszczerbkiem dla swego zdrowia, ale zyskiem popularności, kaptuje i, niby w pół żartem, w pół serjo, werbuje na najazd na Szałmierz. Robi także jakieś tajemnicze wyprawy do granicznego miasteczka Janowa. Antreprzyza taka, już od lat dwudziestu nie zdarzająca się, wydawała się jednakże zagrożonemu tak niesłychaną, że, więcej folgując ostrożnością, a nie śmiejąc się cieszyć na myśl, iż szwagierek w przygotowaną pułapką wpadnie i dyshonor go spotka, czaty rozstawił i służbę dworską trzymał w pogotowiu.

Jednakże dzień za dniem mijał i—nie. Pan Jabłonowski wybrał się znowu, w towarzystwie wiernego Smaskiego, ku traktowi pod

krzyż. W poprzek drogi wiejskiej ułożył się wół, jeden z niedobitków, tamając przejście.

— *Allons!*—rzekł pan Jabłonowski, powiewając wonną jedwabną chusteczką. Ale wół nie myślał się ruszać i dopiero, kiedy Smuski kopnął go silnie, dźwignął się, rycząc, i oddalił się powolnie.

Pan Jabłonowski zwrócił uwagę Smuskiego, że nawet zwierzętom przez złe obchodzenie się z nimi nie trzeba krzywdy czynić.

— A gdybym ja pana kopnął, panie Smuski, cóżbyś zrobił?—

Ekonom namyślił się, według recepty swego pana, nad logiczną odpowiedzią. Wreszcie czoło rozjaśniło mu się.

— Proszę łaski wielmożnego pana,—nie zaryczałbym.—

— Nie jest to odpowiedź, którą dać należało, panie Smuski. Myśl pan dalej.—

Tymczasem podeszli do zwykłego punktu obserwacyjnego; z widniejącej w oddali kępy drzew, otaczającej skromny domek kozieżyński, chwilową rezydencją pułkownika, nie się nie ruszało. Stwierdził to Smuski równie dobrze gołym okiem, jak pan jego przez perspektywę, konkludując, syt myślenia:

— Nie stamtąd nie widać.—

— Jak to czasami najprostsza uwaga

słabiej pojmującego rozumu naprowadzić może na myśl nową, zgoła trafną! Panie Smuski, pan pułkownik, jako wojskowy, a zatem obeznany ze strategją, zapewne nie nadejdzie z tej strony, z której go przeciwnik oczekuje.—

I odtąd wychodził na drogę ku Ciechanowu, w stronę przeciwną. Tu sąsiadowali panowie Kołakowscy z Kołaków i Smuski rzucił myśl zabezpieczenia sobie na wszelki wypadek ich pomocy.

— Nie pozbawiony jesteś zupełnie daru kombinacji, panie Smuski, ale sroka sroce oka nie wykole—odrzucał pan jego tę propozycję,

Gdy pułkownik nie nadeiigał, spadł nagle pewnego przedpołudnia do Szulmierza młodziatki Konstanty Cyprysiński, brat reagenta, a który miał później, wyszedłszy jako porucznik z rewolucji, odegrać pewną rolę w dziejach emigracji, o czem bliższe szczegóły w Gattrego historii tejże.

Tymczasem drukował wiersze patrijotyczne w „Orle Białym“ i obecnie musiał wyjechać z Warszawy, dążąc do Sałkowa.

Pan Jabłonowski na szczęście już był przy śniadania. Sumitującemu się z rannej wizyty młodzieńcowi rzekł tylko: — Nie to, wiedz aś, że w Płockiem gorszy *savoir vivre*, mój szwagier Romoeki, chociaż przecie pole-

rowańszy od tego niedźwiedzia Nosarzewskiego, a raz mi o świcie z kapelą przyjechał i kuranty wygrywać kazał, gdy jeszcze spoczynku we śnie zażywałem. — Pakaż aś, coś tam znowu napisał. —

Wiersz ostatni, przyczynę opuszczenia stolicy, pochwalił, że całkiem pana Niemcewicza przypomina, i młodzieńca na wieczór zatrzymał, czem ten miał stać się świadkiem i współaktorem pamiętnych wypadków dnia tego.

Właśnie miano, po uspakajającej a pożytecznej dla konkokeji dwukrotnej w dniu tym przechadzee ku Ciechanowu, zasiąść do późnej, zwyczajem Jabłonowskiego, wieczerzy, gdy wpadł chłopak boso, zwykle gęsi pasający.

— Jaz jadą! —

— Jakże to? — pan Jabłonowski zdumiał.

Chłopak, ze względu na nie przypisywane mu zdolności, miał powierzony sobie posterunek najmniej ważny, pod lasem, przy drodze do Janowa.

— Dyć od bora. —

A wtem, zziajana, uprzedzając pokazującą się za nią czatą, wtargnęła i Bartłomiejowa.

— Som. Ta ślachta głupia z Scepanków, wej od Kozieczyna, a krzyeą a śpiewają...

— Niech Bartłomiejka tak z przepro-

szeniem, ozorem nie zawija, bo jeszcze go zwichniel — burknął zły, Jabłonowski. — Każdy na swój posterunek! —

Zamiast szpady, przypasawszy wiszącą nad łóżkiem zdobną karabelę, po hetmanie pono, wypadł do ogrodu, z karabinem austrjackim w rękę; gość porwał za starą guldynkę.

Księżyc w pełni był wylazł na niebo, czerniejąc ciemniami nozdrzy w okrągłej twarzy.

— Patrz aś, zupełnie ten *sacré* Nosarzewski! —

Tentent koni i wycie głosów ludzkich rozlegały się już w opłotkach wiejskich.

Nosarzewski z Janowa wydobył ćwierć sotni konsystujących przejściowo nad granicą kozaków. Zwolniwszy się sam wyjątkowo z danego sobie przyrzeczenia, przegrał do znajomego wojskowego znacznieszą sumę, spoił go i wypożyczył od niego wiedziony przez siebie teraz oddział. Pretekstem miało być uśmierzenie niby opornych w czynszach chłopów. Liczył na swoje wpływy w zatuszowania awantury. Na grubej bałanej kobyle, trzęsącej go niemiłosiernie w ciężkim kłusie, z papugą, z którą się przesądny gracz, jako z *porte-bonheur*, nie rozłączył, wzlatającą mu z ramienia, z negrami Alim i Hassanem, trzęsącymi się przy niezwykłej ekwitacji go-

rzej od niego, po bokach, wprost z Janowa, mając przygotowaną, za hasłem przez umyślnego wyruszającą na oznaczoną godzinę szlachtę z Szczepanków, wiódł skombinowany zajazd.

Kozacy, podlani dobrze wódką, wjechawszy do wsi, zdradzili ochotę rozbieżenia się po łatwiejszych do szturmowania chatach, ale pułkownik umiał zakomenderować i, wzięwszy ich w garść, na czele galopem już paścił się ku dworowi.

Wyjąc pędzili jeźdźcy.

Trzeba było, aby się dostać od frontu na dziedziniec, minąć całą długą linię ogrodu oparkanionego, na który wychodził tył domu. Z schodów werandy ogrodowej zagrała guldynka. Młody Cyprysiński zmierzył do migającego za parkanem, sunącego jak gdyby po nim, kozaka. Jeździec przykucał na siodle, zrywając konia, kula musiała mu gwizdnąć bliźniatko ucha, ale już galopował dalej.

— Za ostro aś mierzył, za ostro! — zganił Jabłonowski i, wiodąc lufą po ostatnim jeźdźcu, prowadził ją za nim tak długo, aż ten zniknął za klombem.

— Przecież... jaż przejechał! — wyrwało się młodzieńcowi.

— A rzeczywiście, — przejechał! — powtórzyl niechętnie Jabłonowski.

Tak to młodość bywa zbyt gorącą, lecz

przyganiająca jej starość nieraz tak długo mierzy, aż chwila przeminie niepowrotnie.

Obrońcy cofnęli się do domu. Tam tymczasem z pomocą służby pani Jabłonowska, potulna wobec męża, ale zabiegliwa i dzielna niewiasta, jak tylko Polki być umieją, zataraśowała drzwi i okna, tak, że gdy wroga konnica wraz z prawie równocześnie przybywającymi Szczepanowskimi wpadła na dziedziniec, zastała przed sobą fortecę, trudną do zdobycia przez atak kawalerji.

Padło kilka strzałów do okien, pozostawiając w ścianach ślady, pokazywane długo później, załomotały drzewca spis i rękojeści szabel do drzwi, ale i obrońcy odpowiedzieli strzałami i jęk jednego z napastników dał świadectwo, że tym razem któryś strzał trafił.

Zreflektowało to, chociaż postrzał okazał się nieznacznym, trochę armię, gotową do zajazdu, ale nie do zaciętej rozprawy. Odstąpili za drzewa i krzaki. Nosarzewski, zrozpaczony, dawał wódki, ile negrom, kłapiącym zębami ze strachu, ale gorzej obawiającym się gniewu pana, niż kul, kazał zabrać, i pechnął Alego, co koń wyskoczy, do Koziczyna po większy zapas, obiecując mu głowę ściąć, jeżeli za kwadrans nie wróci.

Oblężeni tymczasem, pomimo odparcia pierwszego ataku, czuli beznadziejność sy-



taacji. Tylko kamerdyner i kucharz pomnożyli załogę. Na czaty i parobków nie było co liczyć: nie ważyliby się i nie mogli natrzeć na regularne wojsko.

— Więc po co ten Smuski po nich poleciał?— zalił się, niepomny swoich własnych, ku temu ongi skierowanych, dyspozycji pan Józef.— Zawsze byłaby jedna strzelba więcej. Oj, najgorzej z głupimi!—

Minęło pół godziny w niecierpliwym oczekiwaniu. Część szturmujących podstąpiła znowu, pomimo strzałów, niepewnych przy przerywanym czarnymi smugami cieniów oświetlenia księżycowym, bez straty, tylko pod drzwiami same, kapiąc się na ganka wchodowym, gdzie ich kule z otworów okiennic nie mogły dosięgnąć. Drzwi zaczęły trzeszczeć pod rękami.

Wtedy Jabłonowski wpadł na myśl, w tem rozpaczliwym położeniu może jedynie mającą, chociaż nie wielkie, widoki powodzenia. Założył swoją z Austrii przywiezioną szarą orderową, gwiazdę przypiął, poczem, krzyknąwszy przez drzwi, żeby odstąpiono, bo chce wyjść dobrowolnie, rygle cofnął i, z pistoletami jednakże w rękę, stanął na ganka,— wysoki, damny, pański.

Liczył, że, jeżeli pomiędzy żołdactwem jest jaki oficer, przecież, zwłaszcza pod impresją gwiazdy orderowej, gadać z sobą po-

zwoli, może się cofnie. A krwiożerości szaraków z Szczepanków tak się dalece nie obawiał, ani gwałtu na osobie starca wielkiego nazwiska.

Ale nieszczęściem wypożyczeni przez Nosarzewskiego żołnierze byli bez oficera, z których żaden nie byłby się podjął uczestnictwa w tej bezprawnej wyprawie, i na za pytanie w tym sensie Jabłonowski usłyszał szyderezy głos szwagra:

— Al poddaje się księżę pan. Przypieczętujemy tę umowę na jaśnie oświetlonej skórze!— i pałkownik machnął ręką ku najhajkom.

Na to już Jabłonowski nie wytrzymał, ręka wleciała mu ku górze. Szczęściem żona, która, pomimo kategorycznego rozkazu: „Zostań Pani!“, stanęła wraz z młodym Cypryńskim przy nim, porwała go za ramię. Pistolet wypalił,— z krótkim skrzekiem z ramienia pałkownika pod nogi mu spadła papuga.

— Ubit' jewo! — wrzasnął rozwścieklony Nosarzewski.

— Bracie, to mój mąż! — zakrzyknęła pani Jabłonowska.

— Winszuję pani siostrze wyboru.—

Jabłonowska nagłym ruchem rozkrzyżowała ramiona przed mężem w obronie od pohańbienia, ran, jeżeli nie śmierci.

Ale żołnierze niespokojnie nastawili uszu na zgiełk, dochodzący od drogi ciechanowskiej, oglądając się na gnającą od tej strony, co sił w chabetach, nieznaną czeredę. Pan Smuski, nie deliberując długo, popędził oklep po szlachtę Kołakowską; niepopalarność i wielkopańskie allury pana Jabłonowskiego w mig zapomniane zostały wobec krzyku: Pomocy, biją naszyeh!

Kozaacy odstąpili, na wszelkie przełożenia swego dowódcy, mając tylko lakoniczne:— Niema rozkazu, wasze błagorodje.

— Marsz do domu, hanewoty!—zdecydował wreszcie zniecierpliwiony.

O tem, żeby się Szczepankowscy, spokrewnieni i pokumani z Kołakowskimi, mieli wzajemnie z sobą potykać, nie było ani co marzyć, jeno myśleć o salwowaniu własnej osoby.

Więc pułkownik, zły z przegranej batalji, pognał, rzucając resztę armji, samotrzeć z Alim i Hassanem do domu, jeszcze rad, że nie było pogoni, tylko kilka kulek zaszeleściło za nim nieszkodliwie po gałęziach.

Szczepankowscy z Kołakowskimi pod łaskawą prezydencją pana Jabłonowskiego zapili sprawę.

Na placu boju pozostała tylko jedna ofiara—papuga.

Tę Jabłonowski, z pierzastych trofeów

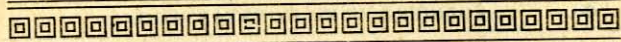
oskubaną, posłał na drugi dzień szwagierkowi „na rosołek“, wraz z zapowiedzią poszukiwania na nim przed forum sądów koronnych kar gwałtu publicznego.

Wybuch powstania listopadowego sprawił, że sprawa ta pod grozą ogromniejszych wypadków utonęła w niepamięci i z nią ostatni zajazd na Mazowszu.

Pułkownik Nosarzewski doczekał się jeszcze dwóch satysfakcji: że generał Krasinowski synową, bez miłości synowi narzeczoną, gdy ten wolał pod drzewem, pokazywanem po dziś dzień w parku opinogórskim, poezji skłanianiem się zajmować, sam godzinami musiał zabawiać, i śmierci szwagra, któremu skomponował takie epitaphium:

Tu spoczywa z łaski Boskiej  
Mój szwagierek Jabłonowski,  
Co nakoniec, ległszy w grobie,  
Dał spokojność mnie i sobie.

ŻOŁNIERZ W. Ks. KONSTANTEGO.



**K**to brzydką pocałuje, podwójnie tem grzeszy i Boga obraża i bliźnich tem śmiesz, — więc bądź mi Waćpan wierny, pamiętaj, bo — i różowy paluszek wznosił się groźnie ku górze, awięziony w tej chwili przez wyciągniętą łapczywie dłoń męską, poczem skrył się wśród wąsów, ocieniających usta tak gorące, że dotknięcie ich przenikało rozkosznym dreszczem od owego paluszka aż do wielkiego palca lewej nóżki, podrywającej się już do ucieczki.

— No dosyć już, dosyć, daj Waćpan pokój, — brzmiał głosik figlarny, ale nie bez przymieszki tęsknoty i niepokoju.

— Nie ugryzę Waćpanny. —

— Jeszczeby też! — pani ciotka nadchodzi. —

Pani ciotka tak chrapała w pokoju sąsiednim, że aż modrzewiowe ściany szlachec-

kiego dworku się trzęsły, zachwiane w posadach stuletnich, ale mężczyźni z reguły tak lekko się dadzą wywieść w pole najprostszemu podstępowi niewieściemu, że zakochany na umór pułkownikowicz Henryk Sieniecki, ani się obejrzał, jak został sam z wyciągniętą jeszcze ręką i oczyma wlepionemi w drzwi, zamknięte i mówiące mu wyraźnie niemą mową przedmiotów, nieczułych na ludzkie cierpienia: A psiki!

Szczelina niebios otworzyła się raz jeszcze i zachichotał głosik ubóstwionej Teklani:

— A jak się raz coś trzyma w ręku, to się snadnie nie puszcza,—gapa z Waćpana!—

Co tak ubodło pana Henryka, że zaklął półgłębko: „Djabeł, nie dziewucha“,—i patrząc się żałośnie na dłoń rozwartą, z której uleciał ptaszek figlarny, poprzysiągł, że prędzej mu na niej włosy wyrosną, niż drugi raz wypaści z silnego ujęcia to, co raz w niem trzyma.

A na to męskie postanowienie spłynął wraz balsam pociechy w szepniętych jeszcze przez fartkę niebieską żałośniejszymi słowami:

— Damy warszawskie pono niebezpieczne...

— Jeśli zazdrosna, to widać kocha,—moją ty będziesz, mój ptaku wdzięczny, moje śliczne kochanie!

Promień słońca wdarł się mimo zam-

kniętej szczelnie od żaru lata żaluzji zielonej i poszybował jasnym, drgającym złotemi iskrami pasmem na ścianie od nieustraszonego oblicza Rejtana do kościstej twarzy Kościuszki, zawisając na chwilę złotym krągiem na dłoni pułkownikowicza, tuż obok krwawnika sygnetu. Dobra wróżba. Tymczasem jednak połączenie słaby małżeńskimi dwojga sere, nanizanych jedną strzałą amora, na dalekim wisiało planie.

Matka panny Teklani, pani Barbara Gałka, także Gałka z domu, że była kobietą, zawdzięczała tylko temu, iż kogut zapiał nie w porę w godzinie jej przyścia na świat, czem płęć dziecięcia z męskiej na żeńską zmienił. Ale przypóźno...

*Hic mulier*—mąż drapnął przed nią, niezem przed nim samym Hiszpanie ogniści i zimni Anglicy w iberyjskiej kampanji, na świat tamten i lepszy, gdzie bez ochyby, wyczerpawszy już pokutę na ziemi, łatwiejsze za figle z markietankami i innemi zamorskimi djablicami, niż u małżonki swej, przebaczenie uzyskał.

Malatka, okrąglatka i palehniatka, różowa, niegdyś weale powabna blondynka, za młodu zwana bułeczką krakowską, kryła w sobie niezwykłą z tą powłoką samodzielność, przeradzającą się z wiekiem w skłonność do absolutnego regimentu. Znali ją sąsiedzi

w Piotrkowskiem, znały sądy i bały się jej, pomimo drwin niepoceziwych jarystów:

Gałka z dala,  
Gałka z bliska,  
Gałka z rodu  
I z nazwiska.

Skarżył się żałośnie na nią sąsiad, imię pan Więckowski Paweł z Toporzyna:

Mnie wielec Szanowna  
Imię Pani Dobrodziejko!

Parobek ze wsi moicy, ymyeniem Kaba, amatorami do dziewczki z folwarka, do dóbr Wielmożney Pani Dobrodziejki, Pękosławice, należącego *nomine* Katarzyna Karpik, zapalawszy, zbiegł mi i ludziom moyem, za nim wysłanem, się schował. Zaczem Wielmożną Panią Dobrodziejkę upraszam, zbiega mi odstawić, zaś Karpikównie ostro zagrozić, aby się w żadne *de novo* konszachty, bałamutne tylko, z niem nie zadawała. W słuszney pewności, że Wielmożna Pani Dobrodziejka pokornej prośbie moicy satisfakeye dać raczy, piszę się

Jako nayniższy Jey sługa  
*Paweł Więckowski.*

Jednakże sąsiadka dobrodziejka, że człowiek roboczy był łakoma rzecz, wydać parobka nie chciała, aż do sądu poszło.

Ale za to protegowanie amatorów cudzych skarał ją Bóg na tem, co miała najmilszego twardego sereca. Jedynaczka jej była z wyglądu podobizną pani matki, tak samo okrągłutka, aż ochotka brała poklepać, ale serduszkó miała miększe. Raz w życiu, krótkiem jeszcze, bo ledwie ośmnaście wiosenek liczącem, ze stron rodzinnych z domu matki, gdzie w ostrej żyła kłauzurze, do krewnych w Lubelskie wyfrunęła, i ot bieda! Jak to bywa, gdy takim piskłętom, nie wypierzonem jeszcze, pozwoilić z pod skrzydła macierzyńskiego się wymknąć. Pani Barbara kłęta, jak napoleoński gwardzista, — ten hołysz, śmiała a ta głupia! — Po najposażniejszą od Piotrkowa o piętnaście mil polskich wokóło panny oczywiście w te pędy poszedł. Że ładna, nie zawadziło. Próżno Teklunia, lzy gorzkie lejąc, za miłość szczerą i gorącą adoratora ręczyła. Odrzucała te zapewnienia matka jednym słowem: golec. Jak gdyby ten stan do miłości był przeszkodą.

— Na oczy go widzieć nie chcę, tego ślicznego gagatka, niech mi się nie waży przyjeżdżać, — psami wyszczuję. —

— Gdyby go mamunia i charakter jego idealny poznała...

— Nie ciekawam: golec. —

A Zagraj i Lutnia już kłami kłapały tak cheiwie, jak gdyby łydki przeznaczonej im na

pastwę ofiary wietrzyły w pobliżu. Beczała więc biedna Teklunia dalej, nieczuła matka zaś nie wiele sobie z płaczu jej robiła, twierdząc, że lzy panięskie, jak deszcz majowy, te oczy odświeżają, tamten ziemię. Ale, że więcej się znała na agronomji, niż na sereach, więc nie miała racji.

I tak nie poznała aspiranta do godności swego zięcia. A szkoda, bo Henryk Sieniecki był ślicznym chłopcem, którego widok i na najzawziętszą przeciwko niemu niewiastę jakiegobądź wieku mógł przychylnie podzielać. Średniego wzrostu, ale doskonałej postawy, szatyn niebieskooki, lat dwadziestu kilka, wdzięcznej a jędrnej harmonji całego ciała, której sam bożek Apollo mógł mu pozazdrościć.

Ale, ale... właśnie komornik tradował mu wioseczynę, na którą jeszcze ojciec jego na służbę krajowi a kwaterunki wojskowe i kontrubacje zaciągnąć musiał sumy, zjadające dochody procentami. Z determinacją oczekiwał tego momentu pan Henryk, czując się wolnym od winy, i tymczasem na gitarze w takt bardzo pięknej piosenki o miesiącu i Filonie, którą Teklunia śpiewała, pobrzdakiwał. Tak, były to piękne chwile. Wujostwo Tekluni, a których w gościnie bawiła przez tajoną, ale od czasów jeszcze działów rodzinnych tłącą niechęć do pani siostry, jak

twierdziła pani Barbara, na gruchanie to patrzyli przez szpary. Z wyjazdem bogdanki zszedł się dzień feralny, w którym Henryk znalazł się z dziedzica—niezem. Szczęśliwym trafem jeszcze jakieś tysiąc paręset złotych przy licytacji dlań wyszło. Plan młodzieńca, syna żołnierza, już był gotów. Gdyby nie chęć ratowania ojczyzstego zagonu, byłby go wykonał od dawna. Rola, lub szabla,—wszakżeż to jedyny wybór był dla szlachcica. Gdy więc roli zabrakło, wahał się tylko, czy do bliskiego Zamościa podążyć, gdzie stał sztab drugiej dywizji wojsk Królestwa Polskiego pod generałem Edwardem Żółtowskim, czy do stolicy dobić. Tam, pod okiem naczelnego wodza, widoki awansu mogły być większe, lubo i znana jego sarowość w wymaganiach służbowych, a niepohamowana gwałtowność szybki kres mogła położyć wszelkiej kariery.

Przeważyla wiadomość, pantoflową pocztą doszła, że Pani Gałka z córką do Warszawy zjeżdżają. Prawo w Piotrkowie nie umiało nadążyć za argumentacją pani Gałczyny. Takie koszta biednej wdowie za parę zagryzmołonych arkuszy papieru! Jechała do ministra Labeckiego na skargę.

— Ciebie smarkatko, samej już nie zostawię—pakuj się zaraz w drogę.—

O czem się w porę, a z uciechą dowie-

dział przyszły wojak, aczkolwiek nie o niepo-  
chlebnym epitecie do zadartego noska łabej,  
cechy wesołego zazwyczaj temperamentu.  
Panna Tekla, jako prawdziwe polskie dziew-  
czę, w zasadach starodawnych wyrosła, w żad-  
ną czułą korespondencję z tym, z którym  
jeszcze pierścionkiem nie była związaną, ni-  
gdyby się nie była wdała, ale wieści pomię-  
dzy ludźmi kochającymi się przebiegają ja-  
kimiś dziwnymi sposobami, znanymi pod na-  
zwą domyślności serca.

Chociaż najwięcej do mandaru ałańskiego  
się dusza śmiała Henrykowi, ekonomicz-  
niej przedstawiała się infanterja, i po krótkim  
namyśle padł jego wybór na czwarty pułk pie-  
choty, ulubieńców Warszawy, w którym znał  
kilku z panów oficerów.

Już w kilka dni później, złożywszy swe  
losy w ręce tychże, ale jeszcze niepewny skut-  
ku ich instancji w dostaniu się do tego wy-  
borowego pułku, z ściśniętem nieco sercem  
błądził Sieniecki po ogrodzie Łazienkowskim,  
gdzie, z pośród drzew ciekawie wyglądając,  
nimf białych kamienne posągi, stęsknione za  
dworem króla Stasia, wyrwały się zalotnie  
z objęć faunów ku dorodnemu przybyszowi,  
mierzył niecierpliwie czas na kamiennej tar-  
czy, na co z podejba urągliwie spoglądał  
dźwigający ją satyr, — pytający przyszłość  
wzrok kierował z mostku, wiodącego przez

strumień, ogród przepływający, po nad grzy-  
bek na filarach oparty na miniatarowej wy-  
sepce, ku bielejącym scianom Belwedera.

Na stradze trzepotały się łabędzie.

W parę tygodni po przybyciu nowy czwar-  
tak wykomenderowany został, co dowodem  
było niezwykłych postępów w mistrze i za-  
dowolenia pułkownika Ignacego Mycielskiego,  
wraz z jednym z starszych kamratów do peł-  
nienia służby tamże.

— *Ca ira* — pogwizdywał z zadowole-  
niem jego porucznik, Ludwik Skarzyński,  
a sierżant Godziemba apominał zaledwie po  
raz szósty:

— A gdy waćpanom przyjdzie przed na-  
czelnym wodzem stanąć, przytomności nie  
tracić, a politycznie się sprawić. —

Z tą salomonową radą pożegnał dwu  
młodzieńców.

Towarzyszem Henryka był niejaki Szy-  
moński, paniezykowaty, chociaż z ekonomów.  
Mówiono, że ojciec jego kasę pułkową, przy  
odwoicie wojsk francuskich zakopaną, odna-  
laź i tem się odrazu na obywatela wypromo-  
wał. Lalaś był, mocno o siebie dbający.

— Meldować się Jego Cesarzewiczow-  
skiej Mości—zabrzmiał obu donośnie w uszach  
rozkaz adjutanta.

Rozkaz ten nie był niespodziewany. Wiel-



ki Księżę żądny był znać każdego z swych żołnierzy osobiście.

Wyprężeni jak struny, sztywni jak posągi, stali przy drzwiach obszernego gabinetu, w którego przeciwległym końcu Wielki Księżę stał oparty jedną ręką o biurko, obok faworyt chwili, generał Raatenstraach.

— Naprzód, marsz! —

Nad pustym środkiem pokoju lśnił ogromny pajak kryształowy, zawieszony dość nisko.

By dostać się przed oblicze Wielkiego Księcia, trzeba było albo przeszkodę niemiłą ominąć, albo...

I w trzy sekundy, kryształy pajaka, brzęcząc, leciały gradem szklanym na posadzkę. Sieniecki przerznął się, na linię nie zbaczając z prostego kierunku, nie drgnawszy nawet, przez słabą zaporę, co prawda nie bez znacznego zdezolowania tejże. Lecz nawet kaszkiet, silnie wedle regulamina pod brodę podpięty, nie skrzywił się na głowie przytomnego janaka.

— *Charaszo, wot matadiec!* — wołał, kląsząc w dłoń, zachwycony rezolatem Konstancy.—Szymoński stał—niezdecydowany.

Jak jego karjera wojskowa tym brakiem decyzji była zapieczętowana, tak według ogólnej opinii, która z chyżością skrzydeł sokołich rozbiegła się po Warszawie, Sienieckiemu otwierały się wrota zaczarowanego pała-

ca świetnych szybkiego awansu nadziei. Wydzierano go sobie w towarzystwie, z dnia na dzień stał się ulubieńcem dam, sławiących na wyścigi męstwo i arodę chwata. Doszło to laram głośne i do pani Barbary i osiągnęło ten w każdym razie skutek, że przestała nazywać Teklanicę—głupią. Była zbyt praktyczną, żeby nie rozumieć awantaży, które dały animuszowi przypadek wespół ze stanowczością, ukoronowane łaską najwyższą. Toż Zajączek tytał księżęcy uzyskał, przypięty jak kwiatek do kożucha, a jaka oranżerja w donacyjnym Opatówku!

A że każdy szczegół, dotyczący bohatera, interesował także opiekujące się nim damy stolicy, więc i historia nieszczęśliwej miłości nadobnej pary stała się wprędce znaną. Doszła i do uszu ks. Łowickiej. I efekt to jej instancji był, że pan Henryk nagle otrzymał wezwanie do stawienia się przed obliczem pani Barbary.

Gdy wszedł do staroświeckiego saloniku na Bielańskiej, gdzie w domu krewnych zajęła była apartamenta, na pierwsze ujrzał tylko wymierzoną na siebie dwururkę długiego lorgnona, którym niewiasta w kształcie kuli, na czubku mehem siwiejących włosów pokrytej, oglądała go od stóp do głowy.

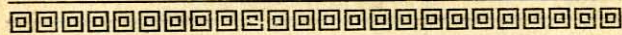
— Przejdź no Waćpan przez salon tam i napowrót,—zakomenderowała, nie odejmując oczu od szkielec.

Żądane ruchy strategiczne wykonał pan Henryk z precyzją. Pajaka na szczęście nie było.

Staruszka objęła badawczym okiem każdy szczegół harmonijnej, w opiętym, granatowym z białym mundurze tem kształtniej uwydatniającej się postaci swego przyszłego zięcia i zreferowała ten egzamin nakoniec ku trwożliwie z za jej pleców wyglądającej Takłuni:

— Ładny, bo ładny,—nie dziwię się wacpannie, że głupstwo robisz,—przebaczam!

SZTURM SEWASTOPOLA.



W maju roku 1851-go markiz de la Valette w imieniu trzeciego Napoleona zażądał od Wysokiej Porty wydania kopuły Grobu Świętego i innych miejsc świętych w Jerozolimie, zagarniętych przez Greków, w ręce wiernych obrządku łacińskiego.

Krok ten Francji, jako protektorki kościoła katolickiego na Wschodzie, miał się stać hasłem do jednej z najdziwniejszych wojen dziewiętnastego stulecia, wojny religijnej, chociaż pozornie tylko, bo toczonej *de facto* o preponderancję w Europie pomiędzy mocarstwami, połową tejże przedzielonemi od siebie, koncentrującej się finalnie w zakątku Morza Czarnego, na półwyspie krymskim. Tu Francja i Rosja podejmowały nową walkę o hegemonię świata.

Marszałek Arnaud, Jacques Achille Leroy

de Saint Arnaud, głównodowodzący wojsk francuskich, zaasznik, współnik spisku i wierne narzędzie cesarza Francuzów, splamiony wszystkimi skazami nowoczesnego kondottiera, ale niezaprzezonej, szalonej energii i odwagi, nie szzczędzający ni kogo, ni siebie, pobił pod Almą odsiecz, zdążającą na pomoc zagrożonemu Sewastopolowi, i wraz z swym sprzymierzeńcem angielskim, lordem Raglanem, weteranem z pod Waterloo, stanął przed tym najpotężniejszym arsenałem Rosji, od którego posiadania zawisły losy całego południa tejże, z armią sprzymierzoną, która, jeden z dziwów tej dziwnej wojny, nie przenosiła z początku liczbą oblężonych,

Wśród pałków francuskich znajdowała się, jak zawsze, tak i tu, na pierwszy ogień posyłana — nie dziwota, obca krew! — legia cudzoziemska — z znacznym kontyngensem Polaków.

Nie brakło ich i w armii rosyjskiej.

Losy dwóch rodzono-stryjecznych braci, Michała i Piotra Hamnickich, różną poszły drogą. Pierwszy, syn emigranta z rewolucji listopadowej, zrodzony już na obczyźnie, tem gorętszą, właściwą emigracji, pałał miłością do ojczyzny, do której wrócić, ale z bronią w rękę, przy dźwiękach marsza tryumfalnego, jak dziadowie przed pół wiekiem, było marzeniem tych wygnańców przymasowych i do-

browolnych, i w kepi francuskim, jako szeregowiec Michel, bo dźwięki jego nazwiska sprawiały nieprzeparłe trudności podniebniom przełożonych, leżał z karabinem w pierwszym z podkopów, którymi oblegający ryli się jak krety pod przemożne bastjony twierdzy, zdało się, niezdobytej. Niweczyły ich pracę, zmadną, bez końca, kontrminy z miasta, niespodziewane, jak haragan przebiegające i niweczące wszystko wycieczki, niezmordowany Totleben, dasza obrony, zamieniał rolę swoich defensywną na ofensywną, klimat, zimno, deszcze były mu rodzimymi sprzymierzeńcami.

Przy boku tego urodzonego wodza oglądać można było często młodego, odłączonego tymczasem od swego pałka, korneta pawłogradzkich lejbhazarów, błyszczącego świetnym mandarem, w dolmanie tarkasowym, takimże czako ze złotem, amarantowych rajtazach, strojnego jak na gody — gody śmierci, Piotra Pawłowicza Hamnickiego. Ojciec jego szybko się pogodził ze straconemi nadziejami, syna na awans oddał.

Miesiące za miesiącami odpowiadały sobie rykiem setki gardzieli armatnich, zmiatających powierzeńnię ziemi, w okopach broń szczękała zajadle o broń, kilof stykał się z kilofem w walkach, strasznych, podziemnych.

Nadszedł pamiętny w dziejach oblężenia

dzień 18 czerwca 1855 roku, dzień kłęski oblegających, którą powetować miał dopiero inny, równie krwawy—znacznie później.

Pod tę porę jednak niecierpliwosć sprzymierzonych, rozzachwalonych uprzedniem zdobyciem okopa przed groźnym karhanem Małachowa, wywołała szturm skombinowany. Już nie St. Arnaud wiódł ten atak zuchwały; trawiony nieuleczalną chorobą, zmarł na okręcie, odwożącym go do brzegów Francji. Nastąpił i ustąpił już po nim dzielny, ale gubiący się w węzłach dyplomacji, chcący z Paryża i Londynu dyrygować akcją, Canrobert; prowadził teraz Pelissier, żołnierz i dyplomata, dla porwania Anglików za sobą wyznaczający na szturm rocznicę bitwy pod Waterloo.

Ale czego miał dokonać później, tu zawiodło.

Nad twierdzą czuwa głównodowodzący, książę Górczakow, ale, co sił zbyt, pchnął pod Tottlebenem na spotkanie podchodzącej pod mury armii nieprzyjacielskiej. Jak z ula pszczoł roje, wylęgają z za szanieców bataliony za batalionami, szarżują rosyjskie kolumny w zbitych masach, tysiące bagnetów pochylają stalowe żądła, odrzucając od wałów szturmujące szeregi. Szturm zaczyna przechodzić w bitwę pod murami twierdzy. W rozwiniętym wachlarzu sił francusko - angielskich robią się

strzępy, wyłomy w tym posuwającym się, wstrzymanym nagle ludzkim żywopłocie. Odpywają jak fale morskie, wracające od skały nadbrzeżnej, po za własne aprosze. A Tottleben prze na cofających się całą siłą swych, stałą awieńczonych, taranów, wpija się pomiędzy nich zębami swych kadrów, grozi zajęciem i usadowieniem się na terenie tamtych robót fortyfikacyjno-zaczeptych.

Naprzeciwko klucza fortecy, karhanu Małachowa, trzymając wzgórek, jeszcze kompania piechoty liniowej i kompania legii, przytulone do szanieców i zakryte nasypem, wytrzymują wśród ogólnej deraty.

Ale zwarty batalion nieprzyjacielski idzie do ataku.

— *Feu!*

Salwa osadza batalion na miejscu, jak bawoła, nietyle śmiertelnie zranionego, ile oślepionego. Mieszają się szeregi, płaczą się, ściskają, jedna chwila ma rozstrzygnąć, czy runą znówu naprzód, czy zwrócą się ku ucieczce.

Na gniadym koniu jeździec w błękitnym dolmanie przypada,—Tottleben śle rozkaz: Naprzód.

— *W pieriod!*

— *En avant!* — z tamtej strony też zrozumiano to pierwsze zawahanie się zwycięskiego potopu, kapitan kompanii liniowej, —

niedawno skończył szkołę wojenną,—chce bić w zmięszanego nieprzyjaciela. Ale ludzie jego, świeżo nadeszła, nie zorganizowana jeszcze i nieudyscyplinowana zbieranina z naprędce wysyłanych posiłków, nie mają wielkiej ochoty wyjść z za obronnej pozycji. I zrozpaczony zwraca się do kolegi swego w randze:

— *En avant la légion!*

— *Mes enfants, en avant!*—zwraca się ten do swoich; oficerowie, sierżanci, powtarzają, zagrzewając, dodając słowa zachęty, przyśpieszenia.

— *Eh bien, Michell!*—sierżant zrywa swoje kepi z głowy i wsadza je na bagniet — taki zwykły starych żołnierzy, gdy idą — po zwycięstwo. Michał naśladuje go.

I legia wstaje, rzucając się lwiami krokami posuwającym się już ciemnym uniformom. Tamtych wyprzedził jeździec na gniadym koniu i wpada w porywając się pierwsze szeregi legii. Szabla jego spada na odkrytą głowę Michała.

Ale już kilka bagnietów pod tarkusem dolmana szuka krwi serca.

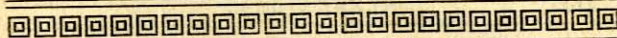
— Gdy odpłynął zalew z twierdzy, sierżant, rozliczający swoich, tych, co żyją, i tych, którym ziemia dała ostatnią podściółkę, nad splątanymi w bezwładnej nieruchomości ponie-

wolnego uścisku legionistą i huzarem, o adorzającym podobieństwie form ciała i rysów twarzy, rzekł słowo żalobne:

— *Tiens, on dirait des frères.*

— Sewastopol upadł 8 września 1855 r.

KLESKA DAM.



Wioska Mazowsze leży w Płockiem nie-  
daleko granicy pruskiej, w lipnowskim powie-  
cie, malowniczo nad rybnem jeziorem.

Nie wprost mlekiem i miodem płyną te  
okolice, ale kto ma żytko, ma wszystko, miał  
zwłaszcza, gdy korzec nie wyprawiał jeszcze  
tańców zwarjowanego barometru. Wielopol-  
ski rządził Królestwem, a cokolwiek o dumie  
i pysze margrabiego można powiedzieć, admi-  
nistracja była doskonałą, porządek wzorowy,  
a z nim rósł dobrobyt, zanim nieunikniony  
protest przeciwko despotyzmowi zamienił kraj  
nasz w jedną dolinę łez i krwi.

Narody nie mają przeczuć. Tymczasem  
zdawały się wracać czasy konstytucyjne. Pola-  
cy zasiadali na najwyższych urzędach, w Płoc-  
ku gubernatorował pan Dominik Dziewanow-  
ski z Działynia. W Mazowszu, u państwa Lu-  
dwikowstwa Smoleńskich, na św. Ludwika,



króla francuskiego, dwadziestego piątego sierpnia, hacznie było. Małżonkowie, młodzi jeszcze, bezdzielni, lubili zabawy i gości. Butelki szampana, szwarcowanego z Torunia, leżały stale dla chłodu w wielkiej balji z wodą; srebrnoszyjki, czekając, zwykle krótko, aż je ręka w bawełnianych, białych rękawieczkach, wyjąwszy ostrożnie z mokrego schowania, okręci serwetą, poczem korek strzeli i — finis życia szampanki.

Wesoło bywało w Mazowszu zawsze, czasem jeszcze weselej.

Zjechało się sąsiedztwo całe, miały być tańce, chociaż to w sierpniu trochę mozolne zajęcia, ale młodzież, czy to na mrozie, czy pod równikiem, zawsze hoc! formalny bal. Byli Zielińscy, Piwniccy, Galezowie, Samińscy, panie w muślinach i krynolinach, panowie we frakach, do stanu wziętych, i nankinowych angażantach. Uroczę główki okalały melancholijno-filaterym wdziękiem loki i nioby, — napoleonki imitowały arbitra elegancji, cesarza Francuzów.

Mężczyźni nie zaniebdywali w salonie konwersacji.

Kobiety były piękne i z siebie zadowolone.

Ale jak każda armia tem bliższą jest dezastru, im dufniejsza w siebie, tak i armia charme'ów niewieścich przedweześnie tryumfowała.

Najpierwszą poniosła porażkę w tej nieustannej walce pomiędzy wiecznokobiecem a wąsami, co prawda najmniej ponętna, chociaż najobfitsza piękność gubernialna, pani Zofia Zawadzińska. Rozbajała jej kształty otulała — na szczęście — saknia, — na nieszczęście — pomarańczowego koloru, na krzyż w formie szala przełożona przez piersi, które wypuklały się pod nią zbyt, jak dwa pączki, ale nie różane, tylko z tych, które w okrągłej palechności pieczono dawniej po pocziwych wsiach, nie skarłowaciałe do cukierniczych dymensyi. Pani Zofia w pozie zwycięskiej uplantowała się przed panem Eustachym Zambrzyckim, który, z wieka i z urzędu, w zastępstwie Napoleona, był na te strony wyrocznią gustu i dobrego smaku.

— Nie lubię pamidorów! — zaopiniował pan Eustachy, który mimo całej swej uprzejmości i galanterji dla dam, miewał czasem dowcip złośliwy.

Potem trzepnął lekki szczałek po rzymskim nosku panny Izabeli Bolskiej, ozdoby panien i, dzięki kilku latkom nad potrzebę, ich menerki. Kręcił się pomiędzy nimi młodzieńkami bardzo Krzesio, bo do pełni imienia swego, Artakserkses, jeszcze nie dorósł, Majewski z Lipińca, na wakacje z Heideberskiego uniwersytetu przybyły. Panny miały coś do niego, że Niemczyk, sztywny, źle tańczy,

a przedewszystkiem wiele za młody, by go móżdż wprządz w święte jarzmo hymenu, i taki, co tylko bezażytecznie po nogach depee, zaś innym, poważniejszym, drogę zagradza. Więc, po złożeniu krótkiej rady wojennej, panna Izabela wydelegowaną została, aby go odsadzić.

Na ogromnym mahoniowym bafecie pokoju jadalnego pędziła kwadryga z sewrskiej porcelany. Wspinającymi się rumakami kierował bożek słońca, a wiozła torańskie katazynki.

— Może kawaler piernika?—zaproponowała zachęcająco panna Izabela.

Młodzian zaramienił się, ale połknął milcząc piernikowy afront wraz z podsuniętym sobie uprzejmie, chrapiącym przysmakiem i, dopiero zjadłszy go, rzekł grzecznie:

— *J'ai mangé la Cathérine, pour que vous ne la coiffez pas*—i z akłonem:

— Może pani dobrodziejka waleczyka?

U Francuzów Półnoey, jak u Francuzów Południa, *bon mot* jest bronią śmiertelną. Świat przyklaskaje zwycięzcy tarnieja, chociażby językowego, — sprzymierzone panny opuściły od razu swoją prowodyrkę.

Dalej gorąco zdezolowało fryzury, a nawet pleć, niedawno jeszcze liliom równą, niektórych dam. Kilka z nich znikło w garderobie, a kiedy wyszły z tego tajemniczego przybytku, przed którym dwie garderobiane,

niezem najślązbistsze szyldwachy, zazdrosną trzymały straż,—wydały się w całości obraza jakieś mniej sztywne. Pan domu, szukając żony, gdy zerknął do tej astroni, dojrzał na sofie przeczące się fiszbiny i stalki.

Śmieli się mężczyźni, rozbiła się już doszczętnie solidarność obozu dam, gdyż część ich oburzała się na ten dezabil, najwięcej te, które rok rocznie jeździły do Ostendy.

Wyśmiewane niewiasty prychały, jak kotki podrażnione.

Ale zdawało się, że w nos apartemu losowi, znęcającemu się nad plecią słabą, pomści te wszystkie krzywdy na panach stworzenia najmłodsza z panien, panna Lucia, córka pomidorowej piękności. Niby to takie gapię, trzech zliczyć nie umiejące, a zawróciła ze szczeniem głowę koledze Heidelberczyka, ale znacznie skromniejszemu od niego, Wikciowi Piotrowskiemu, i do tego stopnia, że najnieśmielszy z chłopców, pierwszy raz ją widząc, w ognistym mazarze oświadczył się jej. Oświadczył się jak najzapełniej, serjo, sentymentalnie i gorąco. Na serjo nie brała tego panna Lucia, pomimo młodego wieku wiedząc od matki, że zważa się tylko na oświadczyni wyżej pewnej cyfry lat i majątku, ale zawsze miłem było wzbudzić takie uczucie przy pierwszym występie w długiej sukni i wbrew ogólnym przepisom o ukara-

niu takiego śmiałka w tej chwili bezlitośnem „nie“, odpowiedziała w słowach, co prawda odmownych, ale nie odbierających konkurentowi wszelkiej nadziei. Z czem poszła na relację do matki i dowiedziała się od niej, że jest—wyrodną i niebaczoną przestrogą i przykładem matki kokietką. Wikeio zaś usłyszał od niedoszłej swej teściowej kilka słówek tego rodzaju, że wypadł z sali i zniknął w ciemnościach ogrodu.

Na placu boju została bohaterka, panna Lucia, trochę z minką ofiary, i grono pań, skupione w żywej wymianie myśli, pięknych, wzniosłych, a praktycznych, których finał był zawyrokowaniem, że jednak w osobie Wikecia Opatrzność pychę męską pokarała.

W to *allegro vivace* wpadł jednak dysharmonijnie zgrzyt zapytania.

— Ale gdzie ten smarkacz poleciał?

Bliskość graniczącego z ogrodem jeziora, miłość i młodość, połączyły się odrazu w głowach niewieściech w obraz tak nieszczęśliwie suggestywny, że jedna myśl przeszła wszystkie tym dreszczem, który wywołuje obraz śmierci.

— Utopił się, utopił!

— Bo jakżeż też pani mogła tak ostro...

— Trzeba było delikatnie wyperswadować...

Wezwani, jednakże, na pomoc mężczyźni wyrazili niejakię powątpiewanie co do pewnością faktu, ale koniec końców całe towarzystwo pobiegło ogrodem w stronę jeziora.

Srebrna tarcza wód, w czarnej oprawie trzciny, lśniła pogodnie pod białym światłem księżyca.

Rozciągnięty na ławce nad brzegiem leżał Wikeio i—spał.

— *Voilà ce que c'est que l'amour!*—koniec parasolki panny Izabeli dotknął pogardliwie leżącego.

— *Non, c'est le vin,* — poprawił któryś z mężczyzn.

Wikeio otworzył oczy. Śniło mu się właśnie, że za jakieś ciężkie przestępstwo skazany jest na ścięcie, że leży nieruchomy, przytwierdzony do bloku, próżno usiłując się zerwać, oto miecz kata dotyka jego karku...

Mazar szedł dalej do rana. Hamorki poprawiły się znacznie i nietyle brak ochoty, ile coraz natężniej przez okienice wdzierające się blaski słońca, coś około południa, położyły kres balowi.

Ale nim zaczęto się żegnać, z żalem — panie degustowały filiżaneczkę rosółku gołębiego lub, temperamentniejsze, barszczyka, mężczyźni zaś pili strzemiennego,—pani Zawadzińska, którą dwadzieścia cztery godzin

zabawy mogło rozgrzać, ale nie zmęczyć, uwzięła się jeszcze na pana Zambrzyckiego.

— Niech pan nam jeszcze na zakończenie opowie co ciekawego — prosiła, chcąc go wyciągnąć na jaką z anegdot, w których celował. A miał co opowiadać z czasów, które nad głową jego przeszły. Przyznawał się tylko do pięćdziesiątki, ale odbył jeszcze wielką kampanię moskiewską „młodzieńskim chłopcem“.

Smoleńsk, Możajsk, Borodino, — pół bojowych, grzmotem dział grzmiące nazwy. Dymem spowity błyska ogniem i żelazem szaniec Rajewski, gęste ptactwo ołowia śląc na powitanie szalonej szarży kawaleryi, pełniętej łbami końskimi w wał fortecy. Rozeięgają się w powietrzu białe płaszcze kirysyrów, płyną z kasków błyszczących poziomo końskie ogony, długie, szerokie pałasze sterczą naprzód drapieźnie, jak dzioby, i fala ta ptaków olbrzymów przeciwstawia piersi czarnym jaskółkom, które wwiereają się, rwąc łuki w równych liniach szwadronów, uścielając ziemię ludźmi i końmi. Pomysł szaleńca geniusza, pomysł — wykonany. Ci, którzy znaleźli się po tamtej stronie okopów, po stratowanych kanonierach i poprzewracanych działach, sami nie wiedzieli, jaka siła ich tam przeniosła.

A na drugi dzień, dla trudności lieze-

nia, obmierzone tylko jeden kwadrat pola z cyfry zalegających go trupów przymierzając straty. — Bialetyn liczby nie podał. —

Pomiędzy tymi, którzy wyszli żywo, był Eustachy Zambrzycki, i ten jeden czyn wystarszał, aby mu darować homeryczną skłonność do niewinnych haftów na owem wielkiem tle.

Więc, jak stał nocą, po nadludzkiem trudzie krwawego dnia, na posterunku, — a tu ktoś kładzie mu rękę na ramienia i słyszy głos, którego dźwięk znała Europa: „Jak się masz, Easii?“

— Ależ Napoleon po polsku nie umiał — zaoponowała mu raz jakaś niedowierzająca dzierlatka.

— On — wszystko umiał. —

Ale tym razem pan Zambrzycki odmawiał.

— Prosimy, prosimy — dźwięczał z pod różnokolorowych kapotek i chusteczek chór głosików.

Pan Eustachy certował się długo, nakoniec uległ.

— Dobrze, kiedy koniecznie, ale — proszę się nie gniewać. A zatem raczeie wszystkie, moje śliczne panie, za mną, jeszcze raz do salonu. — Tak, — i proszę stanąć w koło mnie, a ja wam — zadeklamuję. —

— Ach, jak to pięknie! —

I zaczął Szymonowicza:

„Kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna...”

Dzień ten długo pozostał pamiętnym w Płockiem pod nazwą balu w Mazowszu, czyli Kłęski dam.



39135

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Pociecha . . . . .	7
Klecha . . . . .	25
Zielona papuga . . . . .	47
Ostatni zajazd na Mazowszu . . . . .	65
Żołnierz W. Ks. Konstantego . . . . .	89
Szturm Sewastopola . . . . .	103
Kłęska dam . . . . .	113